

Ignacy

Chodzko.

SERYA CZWARTA.

Tom Pierwszy.

JUBILEUSZ.

DUCH OPIEKUŃCZY.

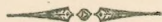


WILNO.

NAKLAD I Druk JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1846.

OBRAZY LITEWSKIE.



SERYA CZWARTA.



OBRAZY

L I T E R A T U R A.

PRZEZ

IGNACEGO CHODŹKĘ.



SERYA CZWARTA.

Tom Pierwszy.



JUBILEUSZ.



DUCH OPIEKUŃCZY.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1845.



327443 L

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1845 roku, 29 Maja.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

JANOWI CHODŹKOWI,

AUTOROWI JANA ZE SWISŁOCZY

I PISM ROZMAITYCH,

w dowód i na pamiątkę

NAJSZCZERSZEGO PRZYWIĄZANIA

poświęca

Najżyczliwszy Synowiec

AUTOR.

J U B I L E U S Z.



JUBILEUSZ.



I.

NAJWYŻSZY KAPŁAN Rzymskiego Kościoła Leon XII. ogłosił Miłościwe Lato; ogłosił rok 1825 Jubileuszowym, i zawołał na cały świat Chrześcijański:
„Niech słucha ziemia wyrazów Naszych!
„Niech wesola przyjmuje brzmienie
„trąby Kapłańskiej, ogłaszającej Jubi-
„leusz Święty ludowi BOGA! Wołamy
„wielkim głosem: przyszedł rok oczy-

„szczenia, przejednania, odkupienia i „łaski...” (*)

I czas też był wielki, aby ten rok *oczyszczenia i przejednania* zawitał dla Chrześcijaństwa! czas był, aby nawę świętą wiary naszéj, nadzwyczajnemi i gwałtownemi burzami skolataną, a tchem Bożym ku portowi już zawróconą, kotwicą nieśmiertelnych nadziei na skale Piotra utwierdzić.

Oczyszczenie i przejednanie.

Właśnie po ośmnastym wieku i po ćwierci dziewiętnastego, oczyszczenie to w czas było konieczném. Należało oczyścić przybytek dla wszystkich cnot od BOGA człowiekowi powierzony: *serce!* na przyjęcie nanowo główniejszój ich przewodniczki *Religii*, za którą i wszelkie inne powrócić doń były powinny.

(*) Bulla Jubileuszowa 1824, dnia 23 Maja.

Należało skłonić zarozumiały a obłąkany rozum do zrzeczenia się przewodnictwa rodzajowi ludzkiemu na drodze szczęścia i zbawienia, i do pokornego *przejednania* tej świętej pośredniczki między Bogiem i ludźmi; a którą on znieważył, z serc i ze świątyń wyrzucił, siebie na jej miejscu nauczycielem i panem świata ogłaszając.

Ale przyszedł mu czas hańby i upadku: bo po krótkim panowaniu przeląkł się on własnego dzieła. Rozumami, że tak powiem, pomieszał się rozum!!! Doprowadził on towarzystwo do krwawego Styxu, za którym tysiące ofiar jego samowładztwa stało mu widomie i ze zgrozą nań poglądało... Wzdrygnął się więc i cofnął... Dalej postępować nie podobna! Wracać mu się trzeba było... a wracać po tej samej drodze, na której wszystko obalał i

niszczył w swym tryumfalnym do mnie-
manej doskonałości marszu.... Potrze-
ba mu było własne nauki na inne so-
fizmata tłómaczyć, aby ich widocznego
nie odkrywać fałszu i oszczędzić upo-
korzenia dumnej swęj zarozumiałości.
Potrzeba mu było wynajdować nowe
śrrodki i sposoby uspakajania namięt-
ności wzburzonych, i tém szaleńszych,
że im celów i ofiar braknąć zaczynało.

Wszystko to jednak było napróżno.
Lud stracił wiarę w jego wyroki. Czy-
ny i skutki dobitniej niż xięgi i racyo-
nalne systemata były mu w oczy. Opu-
ścił więc rozum przywlaszczone berło,
a los i przyszłość obłąkanego świata
oddal nakoniec na wolę Opatrzności.

Opatrzność też czuwała nad świa-
tem i ludźmi. Ona wzbudziła Mocarza,
który silną prawicą zatrzymał potok re-
wolucyjny, podniósł z ruin ołtarze Chry-

stusa, i w dniu jednym nowe dążenia i wyobrażenia rozpromienił po świecie!...

Lecz potężna wola jego polityczne i ogólne na własny i obce narody wywierając wpływy, nie sięgała serc i duchownych usposobień ludzkich. Tam widoczne działanie łaski! tam duch Boży dokonywał dokonać się niemożliwego przez człowieka dzieła!... Narzędzie woli jego wskrzesiło materialny byt Religii i jej świątynie; lecz Bóg sam cudownym natchnieniem uczyl nowe pokolenia chrześcijańskich modłów i starego pacierza.

Rozum, złożywszy swe panowanie, nie wnet się poddał ogólnemu popędowi ludów; chciał on jeszcze być nieuległym, i chodząc samopas, grać rolę rozmyślającego nad przeszłością filozofa, okrywając płaszczem mędrca swą niepewność, wątpliwość, a na dobitkę,

i co gorsza, czczość i bezcelność żywota.....

—Pójdź! szaleńcze! pójdź do mnie!— rzekła mu Religia. Widzisz, coś uczynił! gdzieś i do czego doprowadził o-mamioną tłuszcze!... Pójdź! ja cię zawiodę na drogę twoich pocziwych i bogobojnych praojców.... Beze mnie tyś słaby! tyś nieudolny! przy mnie tyś promieniem łaski Stworzyciela, tyś najcelniejszą władzą i ozdobą stworzenia!...—

I rozum upadł na kolana przed krzyżem.

Ten szybki i ogólny rys duchownej treści wieku naszego zwróćmy do szczególnego stanu naszego kraju.

Falszywy odbłysek religijnej rewolucyi francuzkiej doszedł aż do nas. Owszem, przygotowawcze do niej jady z xiąg sekty tak nazwanej filozoficznej,

a godzącęj na obalenie wiary Chrześcijańskiej, czerpaliśmy pół wiekiem pierwęj, wraz z całą Europą. Resztę u nas dokonywało nieszczęśliwe naśladownictwo, które nam tyle i w tylu rozmaitych względach dało ciosów!

Jednak odbłysek ten oślepiającego ogniska, a pożegającego wszystko nad Sekwaną, u nas nie na cały naród, lecz na pojedyncze *indywidua* wywarł wpływ swój szkodliwy; wszakże tak liczne i mnogie, że całe pokolenie młodsze klas wyższych towarzystwa trądem tym bezbożności rażoném było. Co tam się w praktyce dokonywało, to u nas w teoryi fermentowało w głowach. Tam rujnowano świątynie Pańskie, tu wchodzono do nich dla wydania szyderczém niedowiarstwem wojny Bogu w Jego własnym domu, wyśmiania obrzędów i kapłanów, i płocheo popisywania się

z pogardą tego wszystkiego, co dla ojców, dziadów i pradziadów świętém i najczcigodniejszém było. A Religia, jak budowa trzęsieniem ziemi w posadach wzruszona, nie runęła wprawdzie.. może dla tego, że władza cywilna, tamując napływ antysocyalnych z zachodu nauk, skuteczniej aniżeli ostygłe natenczas duchowieństwo, gromiła rewolucyjne dążenia; ale w sercach przedtém prawowiernych albo zupełnie wygasła, albo w powszechności zwątlona i zwątpiała, łaską tylko szczególniejszą Boską do dawnego życia, czci i powagi przywróconą być mogła.

Nakoniec wielkie przesilenia polityczne stają się w Europie. Narody duszą i ramieniem skupione około wozu Zwycięzcy, i za nim idące, gdy się ten rydwan roztrzaskał, zaczynają przez się

i dla siebie myśleć i działać..... Jak gladiator wychodzący ze śmiertelnej walki, opatrują swe rany okiem z oślepienia wojennej chwały i niechrześcijańskich rozprzężeń przetartém.... Pojawili się mędracy i nowi nauczyciele ludów, których dzieła rozbierając blizką przeszłość, jej przyczyny i skutki, opaczne dotychczasowym, rozpromieniły ideje i sądy.... Świat, jakby z zadumienia i podziwu nad tém, co rozważał, *przeżegnał się nanowo!*

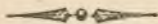
Znowu i do nas promień téj zorzy zwiastującej odrodzenie się w Bogu i cnotach zawital. W rękach czytelników zamiast *Voltera*, *Helvetiusa* i innych, a szczególnie *Wolneja*, którego *Rozwali-ny* za największe u nas miano dzieło (*), *Chatobriant*. Duch wiary Chrześcijań-

(*) Piszę o kraju, gdzie mieszkam.

skieję. *Męczenicy*, i inne podobnego dążenia xiażki ukazały się i weszły w chwalebna modę. Ustawiało uprzedzenie do-
tąd panujące, że aby być mądrym, potrzeba było być bezbożnym. I tak co-
raz a coraz obłąkane *owce* powracały na łono *Dobrego Pasterza*.

W takiej właśnie epoce i usposobie-
niu ducha doszedł nas głos z Rzymu
wzywający wiernych do powszechnęj
modlitwy, do *oczyszczenia*, do *przejed-*
nanania! Jubileusz więc ten miał być,
i stał rzeczywiście, odnowieniem paktu
przymierza z Bogiem dla świata wycho-
dzącego z potopu nieczbożności; i jak
wprzód tęczą, tak teraz krzyżem cu-
downie jaśniejącym na niebie Bóg to
przymierze zdał się utwierdzać. (*)

(*) Mowa tu o krzyżu, który cudownie na nie-
bie wczasie nabożeństwa Jubileuszowego
we Francyi się okazał.



II.

WEZWANI do pracy w winnicy Pańskiej kapłani nasi, gorliwie wzięli się do tego świątobliwego dzieła. Liczne rozmaitych reguł duchowieństwo zakonne i świeckie z miasta Wilna rozeszło się po całej prowincyi pomagać plebanóm w konfessyonalach, na ambonach i przy ołtarzach. Znaleźli się wymówni tłómacze słowa Bożego, Kaznodzieje, o których apostołskiej wymowie nikt przedtém nie wiedział, i którzy oczekiwali, zda się, w celach klasztor-

nych tój uroczystej zrzeczności, aby, wyszedłszy na świat, gorącemi i przenikającemi słowy zadziwiali i wzruszali słuchaczy.

Każdy kościół miał oznaczony czas na Jubileuszowy obchód; i gdy ten nadzedł, cały lud na mil kilka i kilkanaście naokoło wzruszał się jakby ze swojej posady, nieprzeliczonym tłumem garnał się do kościoła, dnie i noce jak mrowiskiem go oblegał; a niezaspokojony w jednym, przechodził do najbliższego, w którym z kolei również powtarzał nabożeństwo.

Panowie nie tylko nie ustępowali chłopkóm swoim w gorliwości i modłach, lecz, dając niejako przykład, wyręczali ich w posługach kościelnych zwykle przez włościan spełnianych, i w szczérém wyznaniu pokory a wyrzeczeniu się w obliczu Boga, fałszywego

na przyzwoitość względu, nieśli chorągwie za processyą, i w dniu ostatnim nabożeństwa na barkach swoich krzyż Jubileuszowy, na pamiątkę przed każdym kościołem wkopywany.

Jeden z najpiérwszych kaznodziei czasu onego (chwała mu i uwielbienie! jeżeli żyje; a wieczny odpoczynek duszy! jeżeli się przeniósł do wieczności) X. Kuźmicki przybył z Wilna do naszego parafialnego kościoła, poprzedzony sławą swęj apostołskięj wymowy i świętobliwości kapłańskięj. Człek ten Boży, w sile jeszcze wieku i umysłu, wsparty był zapewne łaską i pomocą Nieba, aby mógł podolać pracy, jaką dzień i noc podejmował, przechodząc od kościoła do kościoła, a w każdym, tłumóm doń cisnącym się udzielając cierpliwego u-

cha w spowiedziach i dwókrótnęj codzien z ambony nauki.

O ileż to najskrytszych tajemnic ludzkich z serc skruszonych i opamiętałych doń się wylało! ileż z całego przeszłego życia spowiedzi, uspokoiło na całe przyszłe! jaka pogoda i spokojność rozlala się po obliczach! jaka błoga swoboda w duszach!!!

Wśród takiego nabożnego uniesienia zbliżył się u nas dzień ostatni Jubileuszu. — Czyliż doczekamy drugiego?... — pytano się wzajemnie. — Daj Boże! daj Boże!... — i żrzenice zabiegały łzami!!!

Ach mój Boże! iluż pytających się natenczas, znalazło już odpowiedź w grobie! Ileż w tych zapytaniach nadziei i zamiarów snowanych na pół-wieku? a przerwanych w pół-roku... lub dodziśdnia! O jakże mało było niepytających

się wcale! czuli oni bowiem odpowiedź w sobie, a na osiwiałych głowach okazywali ją widoczną! Ależ natomiast starce ci, wznosząc oczy ku niebu, dziękowali Bogu, że to *daj Boże*, które się teraz w ustach wszystkich odzywało, życzone im na témże miejscu niegdyś w taką samą uroczystą chwilę, sprawdziło się im szczęśliwie. Winszowali oni sobie wzajemnie, jakby doczekanych świąt corocznych!... Pół wieku przeżyte czyż nie toż samo, co rok jeden?

Na dziedzińcu przed kościołem, na którym zgromadzeni wszyscy czekaliśmy ostatnich niesporów, obok starego, pochylonego i mchem okrytego krzyża kopano dół na nowy, i tam czuła ta wzajemnych życzeń odbywała się scena, gdy jeden ze starców postąpił do kopających, i, biorąc rydel, rzekł:

—Kopalem przed pięćdziesięcią laty dół na ten krzyż, co obok widzicie; niechże i na teraźniejszy pokopię. Trzeci nade mną samym wkrótce zakopiecie!—

—Jak to?—zapytaliśmy ciekawie—czyż i ten stary krzyż jest Jubileuszowym?—

—Tak jest—odpowiedział starzec, słabemi rękami wyrzucając ziemię z dołu.—Jam wczora Xiędzu Plebanowi to powiedział; i obok wybraliśmy miejsce na ten nowy. Komu da Bóg dożyć trzeciego, niechże pamięta to miejsce: bo krzyże drewniane mogą poupadać.... choć krzyż niebieski nie upadnie nigdy!!!—

Biskup Chomiński, którego brat rodzony Stolnik Oszmiański mieszkał w tu-tejszłej parafii, (obadwaj już dawno przed Bogiem), przybył tu natenczas z Wilna dla celebrowania przez siedm dni Jubileuszowych; i dnia pierwszego, po solen-

ném ranném nabożeństwie, prowadził sam processyę, ale z krzyżem tylko, bez *sanctissimum*, o milę ztąd do dworu swojego brata; a tam, poświęciwszy w ogrodzie miejsce, położył węgielny kamień na kaplicę, którą potem własnym kosztem dokończył i pięknie ozdobił. I ta więc kaplica, do dziśdnia, chwała Bogu, w całości stojąca, jest również pamiątką Jubileuszową, jako i krzyż ten, który pod celebrą świątobliwego tego Pasterza po ostatnim nieszporce postawiliśmy.....

— O Boże! wieleż to potem krzyżów w życiu mojem zniosłem!... Niech będzie na chwałę Twoję, Panie, a na zmazanie ciężkich grzechów moich....—Tu lzy potokiem popłynęły po sędziwej twarzy starca; oddał rydel, i, ocierając oczy, odszedł z gromady.

— Ciężkiż to, widzę, smutek gnie-

cie go—rzekłem do stojącego przy mnie sąsiada mego i przyjaciela. Zna nasze okolice, a przecież ja go nie znam.—

—Oddalił się on z tych stron o mil kilkanaście wprzód, aniżeliś tu zamieszkał—odpowiedział mój sąsiad—sprzedawszy swój tu folwark i całe mienie.

—Odprawił już on w kilku kościołach nabożeństwo Jubileuszowe; lecz za duchowieństwem przybył tutaj, chcąc, jak mi powiadał, dokończyć Jubileuszową modlitwę, gdzie ją kiedyś zaczął.

—Wielkie smutki dopuścił nań Bóg. Pokilkakrotnie i najokrutniej serce jego udręczoném było. Rany jego zgon tylko zagoi. Znam najdokładniej jego cierpienia. Jest to mój dawny przyjaciel. Sąsiadowałem z nim w tej parafii, i najsmilsze czasy młodości mojej odbyłem w jego domu, i w jego towarzystwie, dojrzałem ode mnie o całą młodość.

Zapomniano tu prawie o nim i o nieszczęściach jego, jako o dawnéj przeszłości, do którój i on sam wkrótce zapewne należeć będzie. Lecz jeżeliś téj wiadomości ciekawy, odejdźmy z tłumu. Nim kościół na nieszpory otworzą, opowiem.—

Chętnie przystałem na propozycję.



III.

PAN Romuald (to jest imię starca tego)—
mówił mój przyjaciel — odziedziczył
po rodzicach dwa folwarki, a zatem
piękny szlachecki fundusz, i, jakem po-
wiedział, zamieszkał w tutejszym. Prze-
był pierwszą swą młodość bezzennym,
i ledwo w połowie czwartego krzyżyka
wybrał sobie żonę. Bodaj powątpiewał
już on, aby mógł w swoim wieku podo-
bać się kobietóm; umyślił więc wdzięcz-
nością przywiązać do siebie jaką mło-
dą i niezepsutą dziewczynę, któraby,

nieznając jeszcze tkliwszych uczuć serca, od razu obowiązkom i przywiązaniu małżeńskiemu ulegając, przeskoczyła, że tak powiem, przez miłość.

Wybrał zatem i ożenił się z ubogą, ale młodą i nadzwyczaj ładną panną, której wykształceniem moralnym nawet się zatrudniał, skłaniając ono do swoich widoków; i codzień ją nowemi osypując dary, mniemał, że dopiął pożądanęj i dobrze wprzód obmyślonęj szczęśliwości.

Jakoż lat kilka upłynęło mu najpomyślniej. Córeczka, dziecko piękne i miłe, w pierwszym roku ich małżeństwa urodzone, hodowała się im wybornie. Później narodzony synek umarł nagle, i śmierć jego zaczęła niejako szereg cierpień Romualda.

Wkrótce potem w okolice tutejsze, a w najbliższe sąsiedztwo Pana Romualda, przyjechał do domu Hrabiego.... krewny jego, Podolanin z urodzenia, ale cudzoziemiec z wychowania. Przybywał on z Francyi, gdzie od dzieciństwa prawie z matką mieszkał. Młody, przystojny, zalotny i bogaty, posiadał on wszelkie przymioty zdolne zająć nieostróżne serce i głowę.

Pani Romualdowa, Zofia (bo tak ją po imieniu odtąd nazywać będę) jaśniała natenczas dojrzałą a nieporównaną pięknnością.

Młodzieniec ten codziennie prawie widując ją, czy naprawdę w niej się rozkochał, czy, oczarowany jej wdziękami, uwieść ją tylko postanowił.

Intryga ta i usiłowania jego trwały niejaki czas bezskutecznie. Uczucia macierzyńskie dla jedynego dziecka, Re-

ligia, nieodmienna dobroć i przywiązanie męża, broniły Zofię od upadku... Ale walka ta codzien trudniejszą dla niej była.....

Romuald poznał rychło stan żony i własny; hamował się jednak, jak mógł, w uniesieniach zazdrości i obrażonej miłości własnej, podbudzanej jeszcze codzienném urąganiem złośliwego sąsiedztwa.

Nie przeto przybrał on na się tę powierzchowną spokojność, żeby mu brakowało energii na przerwanie od razu tego nieszczęśliwego romansu i wygnanie z domu natrętnego gościa; lecz kochał żonę szczerze i tkliwie; nie chciał gorszącój sceny, któraby jęj opinię na zawsze skalala i zostawiła wspomnienie na córkę nawet spłynąć mogące. Starszy od niej o lat dwadzieścia z górą, uważał siebie opiekunem

niejako jęj młodości i niedoświadczenia. Wiedział, że poszłubiła mu wiare z sercem zupełnie wolném; i na tém właśnie opierał był przyszłą szczęśliwość swego małżeńskiego pożycia: bo miał nadzieję, że przywiązanie jęj wzajemne utworzy się po szlubie, zapelni tę próżnię w sercu i nie da miejsca obcym uczucióm. A lubo rachuba ta omylała go widocznie, zwodził się on jeszcze, składając winę na zły los, nastroczający tak niebezpieczną pokusę. — Szał to młodej głowy i nic więcej — myślał i mówił nawet przed poufałemi i życzliwszemi sobie przyjaciółmi, z których liczby byłem i ja. — Serce jęj jest nieczepsute i niezajęte. Przejdzie paroxyzm, i uleczona na zawsze, poznawszy znikomość bałamuctwa, wróci do pocziwych uczuć matki i do kochającego ją zawsze męża; i wówczas będzie

pora pochwalić się jęj z mojém przywiązaniem i z moją łagodną a tkliwą litością nad jęj obłąkaniem.—

Ale rozumowanie nie koi boleści żadnej, tem bardziej boleści serca. Pobłażający dla żony, okrutnym on był dla siebie: bo za każdą, a prawie codzienną bytnością w domu jego, Mieczysława (takie mu było imię) musiał Romuald powtarzać sobie swoje perswazyc, wbijać je gwałtem w głowę, i tym sposobem tłumić swe gniewy, gdy na każde słowo, na każdy rzut oka kochanków krew mu kipiała.

Pan Romuald nie spuszczał jednak z uwagi żadnego kroku żony ani nieproszonego przyjaciela domu; otoczył ich, że tak powiem, niewidzialną dla nich siecią, w której więzły wszelkie projek-

ta Mieczysława, wiadome wprzód zawsze Romualdowi, niżeli się skutecznić mogły, i wszystkie myśli i wzajemne uczucia żony. Więc zapobiegł zawsze każdemu pokuszeniu się jednego a słabości drugiej, i każdej zręczności, któraby narazić mogła Zofię na niebezpieczeństwo, a Romualda z pięknem rozumowaniem, na ostatnie nieszczęście i hańbę. Całą pociechę jego w utrapieniu, przez którą nawet i do serca żony kolatał, była malutka Marynia, ulubiona i piękna dziecina, w wieku, w którym małe dziatki są najmiłą pieszczotą rodziców. Brał on ją na ręce, nosił, całował, oblewał łzami; a gdy zadumana matka zwracała na nią oczy, oddawał on w jej ręce Marynię, siadał obok, zwracał myśl na przyszłość ukochanej córeczki, namieniał o nieszczęśliwym losie sierot, śmiercią lub z ja-

kiej innęj przyczyny opuszczonych od rodziców, a szczególniej od matek; słowem, starał się obudzić czułość Zofii, zwrócić oną ku najbliższej serca ich istocie, a odwieść od przedmiotu wciśkającego się doń gwałtem.

Tym sposobem Romuald, idąc ślad w ślad za obłąkaną żoną i licząc jakby każde uderzenie jej serca, pomiarkował, że ono coraz gwałtowniej bije, że paroxyzm nie tylko się nie zmniejsza, ale owszem coraz silniejszego nabiera pędu. Nie uszła także oka zakochanych ciągła baczość nad niemi; a ten przymus i trudność nie tylko nie gasiły płomienia, lecz go tém mocniej podżegać zdawały się. Łagodność i milczenie Romualda nazywali obłudą; straż i ostróżność, szpiegostwem i cichém przesładowaniem.

Nakoniec w przejmowanych listach

(listy bowiem wzajemne dochodziły kochanków, ale szły pierwiej przez ręce Romualda) doczytał się on z przeżeniem wyrazów: *rozwód, ucieczka*; na którą lubo żona jego nie zgadzała się jeszcze, ale coraz wolniej w oporze, samém rozbieraniem przeszkod, w których względu na męża najmniejszego nie było, a na córkę bardzo małą, dawała przeczuwać, że się nakoniec zgodzi, a honor męża i własny, oraz los córki, szalonej namiętności poświęci.

Wtenczas Romuald, widząc dotychczasowy swój takt daremnym, a nawet fałszywym, i żalując ponieważ, stanął przed żoną z listem w ręku, to jest, z odpowiedzią jej do Mieczysława. Rozumiał on i spodziewał się, że na sam widok tego listu Zofia osłupieje... padnie mu do nóg i błagać będzie przebaczenia... a on tkliwém napomnieniem zakoń-

czy scenę, i z niewoli żonę do odpisania Mieczysławowi ostatecznej odpowiedzi, zrywającą tę intrygę na zawsze. Ale się wcale inaczej stało.....

Trzęsący się, jak winowajca oczekujący wyroku, wszedł Romuald do pokoju Zofii, i siedzącą spokojnie, podał, nie mówiąc, list w ręce....

Przyjęła.... spójrzała.... rzuciła obojętnym okiem na męża.... i położywszy list na stole, w milczeniu dalej wiązała siatkę.

Romuald rozumiał, że zwaryowała, albo oniemiała, albo nakoniec, że sam stracił nagle rozum, i nie pojmuje, co się dzieje?.... bo nie mógł jeszcze przypuścić i wierzyć w taką ztwardziałość kobiety, którą niedawno aniołem dobroci nazywał.

Zdobył się wreszcie na głos, który mu był odbiegł.

—I cóż na to? Zofio!—zapytał.

—Ponieważ masz mój list w ręku, azatém niepotrzebne pytanie.—I znowu milczenie.

—Jak to? Zofio! nie masz mi nic do powiedzenia?

—Nie.—

—Ach! o Boże! upamiętaj się! Zofio! Ja ci przebaczam! Toż ty mnie najmniej już nie kochasz?—

—I nigdy nie kochała.—

—Więc mnie oszukiwałaś, ludziłaś przez lat tyle?—

—Nie oszukiwałam. Czyliżeś sły-szał choć raz z ust moich to słowo: *kocham* do siebie powiedziane?—

Romuald przebiegł myślą przeszłość, i musiał w duchu przyznać, że prawda.

—Nacóżes szła za mnie?—

—Czyż ja szłam? Mnie wydano!—

—Więc mnie nienawidzisz?—

—Nie.—

—Dla czegoż więc odrzucasz kochającego cię męża, a oddajesz się w ręce młodzika, którego wiekowi nawet ufać nie można? Nie gub siebie! nie gub mnie! nie gub najbardziej drogiego dziecięcia naszego! Cóż ci ono zawiniło? *Zofio moja!...*—

—*Juzem nie twoja!!!*—rzekła ona jakimś niezwyczajnym, ponurym głosem; wstała i wyszła z pokoju.

Romuald stał, jakby mu piorun u nogę uderzył.... Te lakoniczne, wyraźne i otwarte odpowiedzi były znakiem upartego odważenia się na jedno; może przekorą mężowi spodziewającemu się żalu i zawstydzienia? może nakoniec hardém odbiciem upokarzającego a oczéwistego dowodu ukrywanych za-

miarów? Lecz to: *jużem nie twoja!* zdawało się Romualdowi jawném wyznaniem przeniwierstwa, było zatém wyrokiem zrywającym bez powrotu ich związek, wyrokiem dlań nieszczęścia i rozpaczy.

Stał on długo osłupiały bez myśli, bez czucia; wyszedł nakoniec machinalnie jak automat z pokoju, nie wiedząc, gdzie go nogi poniosą... i Bóg wie co by się z nim stało; ale spotkał na dziedzińcu biegającą Marynię. Ta, podług zwyczaju, rzuciła mu się w ręce.... Wziął ją... Ona go rączkami za szyję objęła, twarzyczkę swoją przytuliła do jego palającego oblicza.... Potok gorących łez rzucił mu się z oczu.... i odzyskał przytomność i rozmyśl; ucałował, przycisnął do serca ukochane dziecko, krzyż święty położył na jej czole, i odszedł zadumany.

Tysiąc myśli i zamiarów cisnęło mu się do głowy, jedno drugim przeciwnych: *gwałtowne*, przeciwne i naturze nieszczęśliwego, i względóm na przyszły los córki, jedyne go pozostającego mu skarbu; *łagodne*, przeciwne widocznemu doświadczeniu i bezskuteczne. I odjęcie sobie życia a ukaranie wieczną zgryzotą niewiernej, i wyzwanie Mieczysława, i odpędzenie wnet Zofii, przemykały mu po głowie jak błyskawice; a po każdej takiej myśli ślad głębokiej boleści, jak wyryte dno gwałtownego potoku, zostawał mu na sercu.

Ni komu się pożalić, ni z kim się poradzić! któż bowiem odważy się zebrzeć litości lub rady, wstyd swój i biedę domową za kalectwo objawiając?.... Wszędzie rada ludzka przydadź się może; ale jeszcze się ten nie narodził, kto-

by złe małżeństwo zgodził. Wreście, los Pana Romualda był wyjątkowym: bo i w obyczajach naszych tak namiętna, a razem tak mocnej woli i uporu kobieta była i jest, chwała Bogu, wyjątkiem.

Po długich namysłach, wrócił nie-szczęśliwy do domu bez żadnego ostatecznego postanowienia; ale jednak coś umyślił; oto: umyślił czekać przybycia Mieczysława, i z nim, jak z człowiekiem honoru, rozmówić się otwarcie i spokojnie o losie Zofii; postąpić potem jak wypadnie. Mieczysław codzień na herbatę przyjeżdżał, i wieczorem wracał do domu, to jest, do Hrabiego, u którego od kilku miesięcy mieszkał, przybyszy na parę tygodni.

Dnia jednak tego i następnych na-próżno czekał gościa. Widać, że w sieci pajęczej, którą ich otoczył, była jakaś

luka, niedostrzeżona przez Romualda, a przez którą komunikowali się kochankowie.

Między małżeństwem też była zimna obojętność, otrętwiałość, gorsza stokroć od swarów lub kłótni, kończących się zwykle prędkim pojednaniem, którego tu nie było nadziei. Marynia tylko biegła od papy do mamy, i skarżyła się smutnie:—Mama gniewa się na mnie, bo nie do mnie nie gada; papa chory, bo płacze.—

Nie mogąc znieść długo takiego udręczenia i niepewności, Romuald, gdy Pan Mieczysław nie przybywał, zbliżył się znowu do żony, pragnąc przynajmniej dowiedzieć się, czego ma oczekiwać i czego się trzymać?

Na mnóstwo pytań nie odpowiadała mu wcale. Na jedno tylko:—Czy

Pan Mieczysław chce nas rozwieść i z tobą się ożenić—odpowiedziała:—*Tak!*—Dość jednak było i tego: bo to krótkie *tak!* rozwiązało wszelkie już wątpliwości Romualda. Któż więc bowiem, czyby jej jeszcze nie przebaczył? czy w odpowiedziach jej nie chciał znaleźć łagodniejszego odgadnienia na: *jużem nie twoja!*...—

Po tej rozmowie nazajutrz weszła żona do jego pokoju, i z najspokojniejszą twarzą położyła mu list otwarty na stole i wyszła.

Był to list Mieczysława do niej, tegoż dnia napisany, pełny wyrazów najgorętszej miłości, dający poznać, że wie o jej smutném domowém położeniu, i że wnet odjeżdża, aby rozporządził wszystko we własnym domu, a powrócił jak najrychlej dla rozpoczęcia i dokonania rozwodu i ofiarowania potem jej

swojej ręki. Kończył, zaręczając sumieniem i honorem świętość swoich obietnic; dodając, że, uważając się odtąd za opiekuna jej spokojności, odemści śmiertelnie każdemu, ktoby się ją męszać odważył.

Z zimniejszą już rozwagą rozbierając list ten i swoje położenie Romuald, na tymże liście szczere onego wyznanie napisał, że *odtąd* więc zrzeka się tytułu i obowiązków męża i opiekuna przyszłej żony Mieczysława; lecz ponieważ dotąd nim był, przeto za zniszczenie szczęścia i spokojności żony, dziecka i własnej, potrafiłby także śmiertelnie odemścić; lecz gdy w takim razie albo zupełne sieroctwo opuszczonego dziecka od matki, albo owdowienie samejże matki przedślubne nastąpićby musiało, przeto i miłość własna głęboko rażona, i chęć sprawiedliwej zemsty, ustę-

pują uczuciom ojcowskim i religijnemu poddaniu się woli Boga, któremu los dziecka, niewdzięcznej żony, i własny oddaje.

Odtąd całe to nieszczęście domowe Romualda wyszło zupełnie na jaw i wpadło na usta ludzkie; lecz złośliwe rozprawy i sądy rozbijały się tu o dwie przeciwne sobie, ale równie twarde tarcze: spokojną rezygnacyę męża, a dumną zarozumiałość żony.

Świat płochy przyznawał jej nawet słuszność.—Cóż w tém złego?—mówiono—lepiej mieć chat trzysta, niż trzydzieści; lepiej mieć męża młodego, niż półwiecznika, którego się nie lubi. Rozumna i ładna kobieta!—

Poczciwi zaś, znający dobrze Romualda, przekonani, że rezygnacya jego

nie z trwogi ani nikczemnego umysłu, ale ze szlachetnego serca pochodziła—zaczny a nieszczęśliwy człowiek!—powtarzali. Wszyscy zaś ciekawie oczekiwali powrotu Mieczysława.

Już trzeci miesiąc upływał od jego odjazdu. Listy każdej poczty dochodziły odeń do Zofii; w każdym obietnice rychłego powrotu; który się jednak przewlekał, a coraz był dla obójga małżonków pożądańszym: bo życie takie *ad interim* pod jednym dachem było im nieznośne. Rodzice Zofii pomarli, rođenjeństwo rozpierzchno się w różne strony; do klasztoru, bojąc się bodaj religijnych exhortacyj, przenieść się nie chciała; więc musiała zostać na miejscu; a lubo nie zajmowała się już domem, wszelak co krok spotykała się z przeszłością jak z nieprzyjacielem wyrzucającym jęj na oczy przeszłość i

niewdzięczność. Całą jej pociechą były listy kochanka; a całém zatrudnieniem, odpowiedzi.

Listy te, gorejącém piórem pisane, tém mocniěj zapalały wyobraźnię i tém niecierpliwiej drażniły jej uczucia. Zwykle wychodziła naprzeciw posłańcowi przynoszącemu pocztę; szła, aż póki go nie spotkała; i powracała jaśniejąca radością, niosąc drogie pismo na bijącém gwałtownie sercu.

W połowie czwartego miesiąca ujrzał Romuald swoją żonę wracającą z tego spotkania nadzwyczaj śpiesznym krokiem. Posłaniec wlokł się zdaleka. Postrzegłszy męża, zwróciła się na uboczną drożynę, prowadzącą do ogrodu; nie mogła jednak tak zdaleka go minąć, aby on nie dostrzegł zaczernwienia jej twarzy, osłupienia oczu i nieładu w całej postaci. Domyślił się

więc łatwo, że albo listu nie było, albo był fatalny.

Nadszedł wkrótce posłaniec; i dowiedział się odeń Romuald, że aktualnie listu nie było; wniosł zatem bardzo naturalnie, że wkrótce sam Mieczysław nadjeżdża i dla tego już nie pisze. Myśl ta uspakajająca nie namknęła się w zapamiętałęj głowie jego żony. Wbiegła ona przez ogród do swojego pokoju i tam upadła na sofę. Paroksyzm jakby febry objął ją: drżała najprzód, potem się głowa jęj płomieniem paliła, myśli żadnych zebrać nie mogła, i szklankę po szklance chłoneła wody, tak, że przełęczniona służąca pobięła do Pana i opowiedziała mu stan żony. Serce Romualda, to wyborne serce, z którego on nie mógł niewdzięcznej wyrzucić, a które go zawsze na litość naprowadzało, i teraz powiodło go do jęj

pokoju. Ujrzawszy wchodzącego, rozdarła ona załamane ręce, starała się uspokoić oblicze; ale gorączką palające oczy, usta i czoło, ale rozrzucone włosy, zdradzały prawdę.

—Zofio! tyś chora—odezwał się Romuald, biorąc ją dobrotliwie za rękę.

Wyrwała mu ją gwałtownie.

—Po co tu Pan? Kto Panu powiedział, że chora?—

—Twoja twarz, twoje oczy, twoja cała postać.—

—Proszę dadź mi pokój!—

—Zofio! nie jestem twym mężem w obliczu świata, i bydź nim nie mogę.... ale w obliczu Boga przysiągłem ci opiekę; i tej się nie zrzekam, choć mię do tego gwałtem przymuszasz, nim kto inny tej ci przysięgi nie wykona. Natenczas moje obowiązki on przyjmie na siebie. Wreście jesteś matką moje-

go dziecka, dla tego zdrowie twoje obchodzi mnie. Przyczynę twój rozpacz wiem: nie odebrałaś listu od Miecysława; a im niecierpliwiej zawsze czekasz poczty, tém mocniej uczułaś zawod. Gdyby nie to, łatwobyś wpadła na domysł najpodobniejszy do prawdy, że twój kochanek już w drodze, i dla tego zapewne nie pisze.—

Na te słowa Zofia zwróciła oczy na męża; patrzała nań, jakby rozplątywała jego wyrazy.... nakoniec zrywa się z sofy, rzuca się przed nim na kolana... chwyta go za ręce, całuje z uniesieniem, wołając:—Ach! tak! tak! on jedzie! może dziś przybywa, i dla tego nie pisze. Tyś zgadł! Bóg ciebie natchnął!... O jakżem szczęśliwa!....—

To już było nad siły i nad cierpliwość Romualda znieść dowody przeniewierczej miłości, w żywe oczy mu palają-

cój.—Niewdzięczna!—rzekł on, wstrząsając zapamiętałe jej ręce—okrutna kobięto! O Boże! co za męczarnie!!!—Odrywa się nakoniec od nawpół-omdlalęj i ucieka z pokoju.

Przyszła druga poczta, i znowu nie było listu. Stan Zofii był nie do opisanania. Znikła jej duma i uporne milczenie; a że mąż nie przyszedł już pocieszać ją, sama się doń przywlekła, zebrać nadziei, którą tracić zaczynała.

Nie odpędził jej Romuald; zawarł on w sercu swém nieszczęśliwém żal swój i smutek gorzki; a jak przyjaciel dobrotliwy, jak ojciec schorzone dziecko, uspakajał ją i koił. Każdy cień nadziei, każde prawdopodobieństwo, chciwie przyjmowała Zofia; często rzucała mu się do nóg: w objęcia bowiem rzucić się nie śmiała.—Niewdzięczna ja! nie-

wdzięczna!—wołała natenczas. I kiedy Romuald, wzruszony i omylony tém wykrzyknieniem, chciał jej swą miłość i przebaczenie objawić... — Czyż tylko przyjedzie?—mówiła ona, niepewne nań i oczekujące podnosząc żrzenice....

Znowu więc pogrążony mąż w dawnej toni; znowu w sercu żony, naprzeciw głosowi sumienia, szalona namietność, zwycięzka!

Passowaniu się takiemu codziennemu zdrowie Zofii wydolać w końcu nie mogło. Jedne już tylko z ust męża słyszała słowa:—Nakoniec czegoś doczekać się musisz—bo mimo najszczęrsze politowanie dla nieszczęśliwej, żadnych on pozornych nawet tak długiego milczenia Mieczysława wynaleźć nie mógł przyczyn. Lecz i w tém zwątpiałém czegoś, w samém oczekiwaniu.... było jeszcze trochę nadziei....

Tak upłynęło z parę miesięcy. Zofia żadnej nie opuściła poczty, pisała list po liście. Aż dnia jednego przybył do nich Hrabia, w którego domu mieszkał był Mieczysław.

Niespodziana ta wizyta zapowiadała jakąś wiadomość, może stanowczą... Drżała, witając go, Zofia. Romualdowi nawet gwałtownie serce biło.

Po pierwszych przywitaniach, Hrabia usiadał i wstawał; rozpoczynał rozmowy o urodzajach, o pogodzie; słowem, nie mógł ukryć złowrózby i niespokojności. Zofia niecierpliwym wzrokiem śledziła wszystkie jego poruszenia....

—Winszuję Państwu—rzekł on nakoniec, jakając się za każdym słowem—winszuję Państwu.... i cieszę się, jako sąsiad i przyjaciel.... że, jak uważam, znikły ztąd.... niesnaski i niejakiś nieporozumienia małżeńskie....—

—Jakie nieporozumienia małżeńskie?—przerwała mu porywczo Zofia.—Tu nie ma małżeństwa.... Mieszkam w jednym domu z tym najlepszym i najczcigodniejszym człowiekiem, a niegdyś przywiązanym do mnie mężem: bo mnie nie wypędził dotąd, chociaż aż nadto na to zasłużyłam. Ale nie jestem jego żoną, ani on moim mężem. Krewny Pański Mieczysław jest moim narzeczonym.... jego czekam... Pan się uśmiewasz?...—(Zadrżała konwulsyjnie).—Więc on nie przybędzie?... Mów Pan!... mów Pan śmiało.... Jam do wszystkiego przygotowana.... nawet do śmierci.... bo śmierć znośniejsza nad męczarnie, jakie dla niego i przez niego znoszę.... Mów Pan! mów!—

Hrabia, patrząc na Zofię, na jej oczy palające i przenikające go nawskrós, na twarz jej to bladą, to gorejącą, na

śpiekle usta i mowę gwałtowną, poznał niebezpieczeństwo swojego położenia; poznał, że jedno jego słowo uderzyć ją może zabójczym ciosem; przeklinał więc w duchu Mieczysława i swoje poselstwo. Gdy jednak Zofia nalegała zapamiętałe, i gdy Romuald odezwał się:

—Albo Panu nie trzeba było tu przyjeżdżać, albo potrzeba teraz powiedzieć, z czém przyjechałeś: bo widzisz Pan sam, że ta nieszczęśliwa takiego stanu dłużej nie przetrwa—

—A więc zmuszony jestem powiedzieć — rzekł Hrabia — że okoliczności...—

—Na miłość Boga bez ogródek.... przerwała drżąca jak liść Zofia—Nie przyjedzie?—

—Nie, nie przyjedzie.—

—Pisał do Pana?—

—Pisał.—

—Proszę mi list pokazać.—

—Nacóżby się to Pani przydało?—

—Chcę wiedzieć przyczynę. W liście ona być musi.—

—Mogę ją Pani powiedzieć; ale proszę się uspokoić.—

—Prosisz mię Pan uspokoić się!...—
(Zofia się rozśmiała)—ale jakimże śmiechem?—Więc przyczyna? Panie Hrabio!...—

—Nie dręcz Pan jej — odczwał się Romuald.

—Przyczyna.... bo... bo się ożenił!!!—

Długie nastąpiło milczenie. Hrabia patrzył w ziemię, a chciałby być pod ziemią. Romuald śledził niebezpieczeństwo żony. Ona stała jak posąg....

Nakoniec odsunęła gwałtownie będącego jej na drodze Hrabiego, i śpiesznym krokiem wyszła. W drzwiach spot-

kała Marynię, porwała ją na ręce, przycisnęła konwulsyjnie do serca, ucałowała, przeżegnała, i znowu popędliwie biegła do swojego pokoju.

—Panie Hrabio!—rzekł Romuald—krewny Pański jest podły!!! Zegnam Pana, bo muszę ratować zgubioną matkę mojego dziecka.—

Pobiegł za żoną, a Hrabia wyjechał.

Okropny był stan Zofii! Żadne słowa pociechy najmniejszego jej nie przynosiły skutku; i abym skrócił Panu opowiadanie, straszna i gwałtowna gorączka tegoż dnia ją objęła, i mimo wszelkie usiłowania lekarzy, w siedm dni nieprzytomną zebrała ze świata.

Romuald zebrał listy Mieczysława, dołączył metrykę śmierci Zofii, zszył jedno z drugim, i podpisawszy u spodu:—*Zabójcy na pamiątkę*—odesłał mu umyślnym.

Wprawdzie po tém fatalném słowie: *jużem nie twoja*, które Romuald zanadto może ściśle sobie tłómaczył, a które (jak z listów przekonywał się później) było tylko dowodem niecofniętego Zofii postanowienia i słowa Mieczysławowi danego, Romuald uważał się na zawsze rozłączonym z żoną; jednak nie mogąc jej zupełnie wyrzucić z serca, bolał nad nią za życia, bolał po niej po śmierci. Nakonieć spokojność sumienia, oddanie się zupełnie na wolę Bożką, i ukochane dziecię Marylla, dźwignęły go ze smutku.



IV.

ZAWLEDZIONY Romuald jako małżonek, zapomnieć starał się, że nim był, oddając się jedynie uczuciom i obowiązkom ojca.

Marynia podobniuteńką była do matki. Ojciec, z jednostajności oblicza biorąc wróżbę i podobieństwa charakteru, postanowił wychowaniem działać na przeciw upartej naturze i twardemu sercu, któreby córka po matce odziedziczyć mogła, a w które namiętność z trudnością się wpajała, lecz raz wpojona, trwa-

ła tam na zawsze, jak rzeźba w marmurze.

W takim celu czynił on wszystko, co mógł; dobierał jak najłagodniejsze bonny i guwernantki; sam codzienną pieśczętą starał się rozmiękczać, roztkliwiać to dziecinne serce, rozlewając na nie najczulszą ojcowską miłość i dobroćliwość.

Gdy się jój pojęcie rozwijać poczynęło, czuwał najtroskliwiej, aby przed wszystkimi innemi naukami, choćby z ich zaniedbaniem nawet, poila się ona najczystsza treścią cnót religijnych, tępiących niesforność młodych urojeń, a jednających pokój i swobodę duszy.

Starał się też o zupełne jój zaufanie, tém bardziej, że kiedy niekiedy postrzegał w niej zarody matczynęj niezłomnej woli i przekornego umysłu; dla tego wołał się często zgadzać na jój

choćby niewczesne chęci, niżeli sprzeczką podbudzać opor, któryby potem łamać musiał władzę ojcowską, a tém samém wąllić jęj śmiałość i otwartość ku sobie.

—Na tém grunt!—myślał pocziwy ojciec—wyzna mi zawsze wszelkie swoje myśli i uczucia. W dobrych utwierdżę, złe zniszczę w samym zarodzie; w walce zaś złego z dobrém, miłość moję ojcowską ku nięj i jęj dziecięcą ku mnie naprzeciw złemu postawię....; zwyciężę, i szczęście najdroższęj mi istoty ustaliwszy, spokojny zejđę do grobu.—Tak sobie myślał pocziwy ojciec. *O vana spes mortalium!*

—Ale ja rozgadałem się na długo, a tymczasem nieszpory....—rzekł mój opowiadacz.—

—Zadzwonią na nieszpory—odpo-

wiedziałem. — Bądź Pan łaskaw kończyć. —

— Dojrzała nakoniec i wyrosła — mówił on dalej — Marya, równie piękna i piękniejsza od matki. Romuald z niepokojnością widział zbliżający się czas, gdy najmilszą samotności jego pociechę przeznaczenie odebrać mu mogło.

Czas to był właśnie owych pocho-
pów ku błędowi, owych walk ze złem,
w których ojciec miał być jej sekun-
dantem. Jakoż stał on na straży, pil-
nując najtroskliwiej pierwszego czul-
szego uderzenia serca córki, pierwszój
iskry, którąby gasić lub łagodzić należa-
ło.... Ale się ta iskra nie krzesiła.

Roje młodzieży otoczyły Maryę.
Wdzięki, a przy nich ziemską fortuna
i wiadome kapitaliki Pana Romualda,
nęciły coraz nowych pretendentów. By-
ło wielu i bezwzględnych na posag, bo-

gatyh z siebie, a tylko zakochanych w nadobnój dziewicy, ozdobionėj jeszcze i nabytemi przymiotami starannego wychowania. Ale żaden nie zajął jēj serca. Na niektórych Pan Romuald chętnieby zwrócił życzliwsze oko córki; ale to oko obojętnie przechodziło po wszystkich, nie zatrzymując się na żadnym; i bez zarozumienia lub dumy wyznawała ona szczerze ojcowi, że nie kochała żadnego; że do żadnego nie czuła nawet owėj skłonnėj sympatyi, z której jeżeli nie miłość przed szlubem, to najczęściej przywiązanie po szlubie się wyradza, i która więcej może i szczęśliwszych daje małżeństw, aniżeli zapamiętała namiętność.

W takim stanie obojętności i otręwienia niejakiego doszła Marya lat dwódziestu. Rozum się jēj ukształcił, wdzięki się najponętniej rozwinę-

ły, przymioty wydoskonaliły; a Romuald mniej się zaczął lękać burzy, jaką pierwsza miłość wzbudza w młodych sercach: bo już widział w córce siły umysłu zdolne w potrzebie wsparć jej słabość, utłumić płomień, i ustalić równowagę między namiętnością i rozumem; poglądał więc z rozkoszą i chlubą na wypiaastowaną dziewczę.

W tym właśnie czasie zjawił się w naszą okolicę, a raczéj spadł jak z obłoków szczególniejszy człowiek, cudzoziemiec, Francuz czy Włoch, trudno wiedzieć. Nie pamiętam już, z kim on tu przybył. A był to czas u nas, gdy cudzoziemiec, a szczególnież Francuz każdy, za najdoskonalszego uchodził człowieka. Wszyscy więc ubiegali się o jego znajomość: młodzież o jego przy-

jażn, kobiety o jego piękne słowa, a każdy dom miał za honor jego gościnę.

Ten wszelakoż człowiek różnił się od pospolitych swych współrodaków, i mógł prawdziwie celować w każdym towarzystwie. Jak się on rzeczywiście nazywał, niebardzo się dopytywano; zresztą i zapomniałem; *Monsieur le Colonel*, i nie więcej. Takim się on ogłosił, i tak go nazywano, nie dochodząc bynajmniej prawa jego do tego tytułu. Nosił on od niechcenia wstążeczkę czerwoną przy zapięciu fraka, a rozpowiadał dokładnie wszystkie prawie bitwy i zwycięstwa Napoleona; i lubo w tych narracyach nigdy o sobie nie mówił, tak jednak umiał zręcznie prowadzić opowiadanie i jednoczyć się z wypadkami, że mu wysokiego stopnia wojskowego, męztwa, i ścisłej znajomości z wielkimi ludźmi, których sława brzmiała na-

tenczas po Europie, zaprzeczyć nie można było.

Nadto, dumne jakieś lekceważenie takiej świetnej przeszłości, o której jakby z przymusu wspominał, wpół-urywane słowa o swym losie i przeznaczeniu, dostatek pieniędzy, których nieskąpo, ale i niepłochu używał, rozmaitość talentów i nauk wyższém tylko wychowaniem nabydź się mogących, a przy tém wszystkiém jakiś niesmak i poniewierka życia, jakiś smutek i tęsknota w zadumaniach i głębokich niekiedy westchnieniach objawiająca się—wszystko to jednało tajemniczej tej figurze pewny urok zagadki, twarzą nawet jego i szczególniejszym jej wyrazem podniecany.

Kto go raz widział, już go nie zapomniał nigdy. Nie był to człek pićrwszej młodości, mógł bowiem mieć lat

trzydzieści z górą. Uroda spora, ale składna ku całej jego silnej, zwężłej i szykownej postaci; czoło wysokie otwarte, na którym głęboka myśl, czy głęboka troska, lekkie wyryła karby; osłaniało się ono i chmurzyło gęstemi kruczemi włosami, które on niecierpliwem wstrząśnięciem głowy, jak lew grzywę, na skronie rozrzucał; oko czarne, pełne, ale tak przenikliwe, takiego iskrzącego się żaru, że gdy je w ciebie utkwiał, lękałeś się, aby cię nie urzekł lub nie oczarował. Sam tego na sobie doświadczyłem. W zwyczajnym stanie był to wzrok piękny, włoski, namiętny; ale w każdym żywszem wzruszeniu były to oczy bazyliuszka.

Powiadają, że wąż grzechotnik gdy spójrzy na wiewiórkę, już zginiona: bo z pod wpływu jego zabójczego oka wydarć się nie może, i usiłując uciekać,

sama wpada na żądło. Mniemam, że ten-
 że sam wpływ miał wzrok i tego czło-
 wieka. Reszta rysów twarzy jego przy-
 stojna i męzka. Uśmiech zwykle ironicz-
 ny, którym na wątpliwość lub głębięj
 dojmujące pytania odpowiadał, strzegł
 wprawdzie jego tajemnic, nie tłumił
 jednak domysłów i podejrzeń nadwerę-
 żających niekiedy wiarę w jego znako-
 mitość. Zresztą, ponieważ z władzą
 krajową był w zgodzie, a załém najdo-
 stojniejsze domy bez bojaźni mu się
 otwierały.

Jednym z takich domów, w którym
 z upodobaniem gościł Pan Półkownik,
 był zmarłej już dawno blizkiej krewnej
 Romualda, zacnej weteranki, wdowy
 po Generale b. Wojsk Polskich, która,
 całą młodość w Warszawie i przy Dwo-
 rze Stanisława Augusta przepędziwszy,

napoiła się uwielbieniem francuzczyzny; a tém bardziéj gdy sława narodu tego tak się wzniosła.... czciła ona Napoleona jak pół-boga; jakże więc rada była w swym domu uczestnikowi jego zwycięztw! z jakiémże go zajęciem i rozkoszą słuchała! jak się oburzała na każde wątpliwe o nim słowo!

Generalowa przywiązana była czule do Maryi, i Marya wzajemnie do babuni, u której niekiedy zostawiał ją ojciec na kilka tygodni, pewny dobrych przykładów i spokojnych godzin dla córki.

Marya od dzieciństwa okazywała zdolność do rysunku; Romuald więc starał się wspomóc ten piękny podarunek od natury; i Marya tak ohoćnie się przykładala, że wyborną była kopiistką krajobrazów, któremi obwieszała ściany w pokojach Generalowój.

— Czyjś to ręki rysunek?— zapytał raz Półkownik.—

— Mojój wnuczki — odpowiedziała Generalowa.—

— Kobięty!— rzekł znowu z niejakim zadziwieniem Francuz.

— Dziewczyny, niemającój speln lat dwódziestu.—

— Winszuję! Talent niepospolity! ale wart lepszych nauczycieli i dalszego doskonalenia się. To są kopije ze sztychów. Naśladowanie jest dokładne, pracowite, ale niewolnicze. Takim sposobem mnożą się tylko duplikaty; a wnuczka Pani zdolną jest, jak uważam, mieć wzorem naturę, i z jej kopije na papier przenosić. Brak jej tylko wiadomości sposobów i praktyki.—

— Alboż, Półkowniku, jesteś równie dobrym malarzem, jako i muzykiem?—

— Niewielkaby to była zaleta mo-

jego malarstwa, gdyby się tylko równało muzyce.—(Półkownik grał wyśmienienie na skrzypcach).—Niegdyś — mówił dalej Półkownik — przebiegając włoską krainę — (a wzdychał głęboko, ilekroć Włochy wspominał) — okolice i wspaniałe pamiątki Rzymu udawało mi się nieźle kopiować. Ochotę miałem niezmordowaną. Często całe dni z ołówkiem w ręku bląkałem się po górach i rozwalinach, a przynosiłem do domu w szkicach i w pamięci pracę kolorowania na kilka tygodni.—

— Na wieleś się odważał, Półkowniku! — rzekła Generalowa. — Powiadają i piszą, że Włochy napelnione są rozbojnikami, a góry, wąwozy i dawne opustoszałe zamczyska są ich gniazdami.—

Półkownik zwrócił szybko wzrok na Generalowę, utkwil go w niej prze-

nikliwie; ale po chwili milczenia rzekł z uśmiechem:

— Pani czytałaś Rynaldyniego.—

— Zgadłeś, Półkowniku, zgadłeś— odpowiedziała śmiejąc się Generalowa.— To ulubiony mój romans i wnuczki mojej. Czytałyśmy go kilka razy. Czy rzeczywiście istniał Rynaldyni?—

— W imaginacyi autora. Wiele jednak jest tam wypadków i rysów charakterystycznych, wziętych z dziejów rozbojnictwa włoskiego, które dzisiaj bagniet francuzki zniszczył i wyplenil.—

— Prawdziwie szkoda....— rzekła bez zastanowienia zajęta Rynaldynim Generalowa.

Rozśmiał się może raz pierwszy na prawdę Półkownik.—To mi prawdziwie romantyczny żal po bandytach— rzekł i spójrzał znowu po swemu na Generalowę śmiejącą się także.

— Czy widziałeś choć raz bandytę? Półkowniku! — zapytała ona znowu.

— Czemu nie? i nie raz, na placu exekucyi, przed wymierzonymi doń dwónastą karabinami.... —

— Ach mój Boże! jakże on.... —

— Ale wracając do mojego malarstwa — przerwał Półkownik — potém, jako żołnierz, na koniu, nie miałem łatwych sposobności dogadzania mojej ochocie. Jednakże gdyśmy zajmowali Szwajcaryę, piękniejsze jej góry i jeziora do mojej teki zgromadziłem. Niektóre też nadmorskie widoki we Francyi zdjęte pomnożyły zbiór mój, za który sztycharz w Moguncyi nieźle mi nawet chciał zapłacić. Ale kiedyż amator sprzedaje swoje pracę? Jednakże możebym i lepiej zrobił: bo-by moje pejzaże zostały przynajmniej własnością publiczną; a teraz w rozmaitych moich

podróżach poginęły; ledwo mi kilka zostało, które pozwoli Generalowa między temi pięknemi rysunkami na pamiętkę zawiesić.—

—Jaka ofiara! Półkowniku! Ale wdzięczną będąc nieskończenie, przyjąć jej niemogę; naprzód, że nie chcę cię pozbawić miłych przypomnień; powtóre, że rysunki mojej Marylki straciłyby całą wartość obok twoich.—

—Miłych albo niemiłych wspomnień? to mnie wiedzieć—odrzekł Półkownik z niejaką goryczą—a prócz tego wiem, że w błędném mojem życiu potracą się, jako i pierwsze. Więc nie odmawiaj mi Pani, proszę.—

—Niech i tak będzie—rzekła Generalowa—i wierz mi, Półkowniku, że nigdy nie spojrzę na jego pracę, abym nie życzyła wszelkiego dobra autorowi.—

Półkownik westchnął głęboko.

—Ale wiesz co? Półkowniku! ośmiesz mię do jednćj prośby.—

—Gotowym na rozkazy.—

—Ponieważ znajdujesz ślady zdolności w rysunkach mojęj wnuczki, czybyś nie raczył dadź jćj kilka lekcyj zdemowania obrazów z natury? Prawdziwabyś nam zrobił łaskę; a jćj tćm bardziej: bo upodobanie jćj w rysownictwie rozmaitością i odkryciem nowego pola talentowi stokrotnieby się podniosło.—

—Uprzedzasz Pani życzenia moje, których objawić nie śmiałem. Ale obacz wprzód Pani moje obrazki, i osądz, czy się zdam na nauczyciela wnuczki Pani?—

Rozkazał Półkownik podadź swoje podróżną tekę, i z nićj wyjął kilka krajobrazów tak doskonale i pięknie zrobionych, że rękę mistrza przyznać mu koniecznie trzeba było. Zachwycona Generalowa posłała wnet umysł-

nego do Maryi, z wezwaniem, aby przybywała natychmiast z pędzlami i farbami dla brania lekcyi rysunków z natury od najdoskonalszego mistrza.

Romuald słyszał już rozmaite wieści o Panu Półkowniku; rozmyślał więc bardzo, czyli miał jechać i zgodzić się na te lekcye? Jednakowoż zaufanie nieograniczone w rozsądku Generalowój (którego wszakże ani w wyborze Rynaldyniego na ulubioną lekturę, ani w wyborze nauczyciela rysunków, nie dała wielkiego dowodu), zaufanie w roztropności codzien rozwijającój się samejże Maryi, zaufanie nakoniec we własnej przenikliwości, i prośby Maryi, zdeterminowały go — pojechał.

Byłem blizkim sąsiadem Generalowój i bardzo częstym u niój gościem; obecny więc byłem i téj rozmowie jój z Półkownikiem, i tém bardziej zosta-

łem na dni kilka, doczekując Maryi, że gdyby moje uczucia ku niej i życzenia nawet babuni przyjętemi były.... Ale los chciał inaczej....

Po najczulszych przywitaniach babki z wnuczką, pierwsze spotkanie uczeni-
 nicy z nauczycielem wprowadziło w osłupienie tego ostatniego. Oczekiwał dziecka, a przynajmniej młodą dziewczynki, nieśmiałą wieśniaczką, a spotkał dziewczinę dojrzałą, piękną nad wszelkie jego wyobrażenie, wybornie wychowaną, mówiącą dobrze po francuzku. Wzrok jego utopił się w niej; a zważający troskliwie Francuza ojciec nie upodobał tego wzroku i odrazu antypatyę doń poczuł. Półkownik odszedł zadumany w jedną stronę, Romuald w drugą. O jakże różne myśli w ich głowach! jak różne uczucia w duszach!!!

Wróciwszy Romuald, znalazł ciotkę i córkę unoszące się nad pięknością obrazów Pólkownika; a ten opowiadał przy niektórych to legendy, to podania historyczne do miejsc zrysowanych przywiązane.

Romuald nie podzielał zajęcia się słuchaczów; czém inném miał on zajęta uwagę: przemyślał on, jakby zerwać zupełnie, lub przynajmniej skrócić tę naukę Maryi? Więc przerywając historię Pólkownika, rzucającego nań kiedy niekiedy inkwirującym wzrokiem, rzekł, jaskając się (bo mu trudno mówić po francuzku, chociaż rozumieć ten język):—Jak wielu potrzeba lekcyj, aby córka moja nauczyła się tak pięknie rysować? —

Pólkownik przeniknął myśl i niechęć ku sobie ojca Maryi; uśmiechnął się; a z tego uśmiechu Romuald od-

gadł, że jest przenikniętym. Dwie podejrzliwości wzięły się tu na próbę, ale walka nierówną była: bo Półkownik był mistrzem w szkole fałszu i przewrotności, Romualdowi zaś troskliwość i niespokojność ujmowały baczenia i zimnej rozwagi.

—Będzie to zależało—odpowiedział Półkownik zawsze z uśmiechem, i odwracając się nawpół do ojca, nawpół do córki—od ochoty Pani: bo o zdolności najmniej nie wątpię; zresztą umiejętność moja nie tak dalece przewyższa usposobienie Pani, abyśmy się wkrótce nie zrównali; i nakoniec, mimo najszczersze chęci moje, długo pięknej uczenicy służyć nie będę, bo wkrótce odjechać muszę do Petersburga, jakem to Pani Generalowej już mówił.—

—Z Panem BOGIEM—pomyślał Romuald, i ja także.

—Czekam listów. Od tych zależeć będzie moja determinacya. Aby zaś nie tracić czasu, czy się Pani nie zgodzi dziś na pierwszą lekcję? Zawsze, jeżeli podobą się Pani, propozycya samychże lekcyj.—

Marya podziękowała grzecznie; oświadczyła tylko, że zwyczajnej etykiety, że się boi, aby nie znudziła nauczyciela, i aby nie żałował czasu marnie użytego.

Czas mój, Pani, na nic mi się nie przydaje; upływa marnie i bez celu, jako i życie moje tułacze; ofiara więc zeń nie ma żadnej wartości; owszem, dobrodziejstwo mi czyni każdy, kto go sobie przywłaszczy, choćby na pamiątkę.

Piękne jest położenie wsi natenczas do Generalowój, dziś do jej licznych dziedziców należnej. Ogród za dwo-

rem po wzgórzach i dolinach szeroko rozległy dochodzi do brzegu czystego i pięknego jeziora, za którym na drugiej stronie dojrzeć można murowany kościółek z klasztorem, także na wzgórzu wznoszący się i jodłowym lasem okolony. Na śródku prawie jeziora, w bok od klasztoru i ogrodu, jest wysepka, na której kilkanaście dębów ogromnych, mały z leszczyny zarostek, i licha chałupka, letni przytułek rybaków, jakby umyślnie na prospekt rysunkowi rzucona.

Półkownik wybrał nadbrzeżny wzgórek, z którego cała ta okolica w najpiękniejszy rozwijała się widok, i chwilę nachylającego się ku zachodowi słońca, gdy jaskrawe jego promienie, padając ukośnie na wyspę i odbijając się około niej od wody, złoto-plomienną zalewały ją barwą. Daleka luna światła

blyszcząca na falującém się lekko jeziorze dochodziła cieniów pomykających się zwolna od klasztornego lasu, ustępowała im po wodném zwierciadle i tonęła w głębinach. Gdzieniegdzie kilka łódek i kilka stad kaczek dobijało się na nocleg do brzegów. Szeroki ten i piękny plan miał być w tej samej chwili swojego uroku schwycony na papier. Półkownik ustawił stolik, oznaczył miejsce dla rysowniczk i podał jej w rękę ołówek. Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy wpatrywaliśmy się w ten cudny i zachwycający widok.

—O piękno naturo! — wykrzyknął nakoniec Półkownik — jakże cię kocham! O jakże dawno serce me biło dla ciebie! Jakże dawno taką mię rozkoszą, jako w tej chwili, poilaś!!!—

Obróciliśmy się ku niemu. Nigdy nie zapomnę jego natenczas postaci i twarzy.

Stał on jak wryty z rękami na piersiach skrzyżowanemi; wzrok jego, powleczoney łzawą pomroką, tlał z pod niej, jak iskra z pod zarzewia; a na czole i całym obliczu wyraz takiej głębokiej boleści czy zgryzoty objawił się i zastygł, że nań bez trwogi patrzeć nie można było.

Marya rękę z ołówkiem na stoliku oparłszy, podniosła nań także zdziwione oczy; wpatrywała się ona w tę postać czy posąg, jakby ją pojąć, zrozumieć i zrysować chciała.....

Stopniami opamiętywał się dziwny ten człowiek; uśmiechnął się gorzko, i wzrok swój posępny, ale gorejący, na Maryę obrócił.... Spotkał oczy Maryi... Niezdolną była wytrzymać długo dziewczyna tego przenikającego wejrzenia, ale i oderwać swojego oka odeń nie mogła; olśnione jakby jej źrenice błękały się w różne zboczenia, ale gwał-

tem zwracały się na te dwa ogniska, z których iskry padały jej na lica, a a bodaj i na serce.

Mniemam, i dotąd wierzę, że ta jedna chwila zgubiła Maryę, że ten wzrok szatański jakąś piekielną siłą ją oczarował.

Postrzegł baczny na wszystko ojciec ten stan wątpliwy córki.—Dla czegoż nie rysujesz? Maryo!—rzekł, spozierając ostro na nauczyciela. Ten uśmiechnął się znowu, twarz jego przybrała zwyczajny tajemniczy wyraz, oczy zlagodniały.

—Prawda — rzekł — napawając się tym pięknym widokiem, zapominamy, że go wykraść mamy naturze... Zaczynajmy więc.—

—Nie wiem jak i od czego?—odezwiała się Marya głosem zdradzającym nieuspokojone jeszcze wzruszenie.

—Daruje więc Pani, że jęj powięm wprzód kilka ogólnych a koniecznych uwag.

—Zawadą dla Pani jest dotychczasowa jęj nauka. Nawykłaś Pani z małych obrazków niewolniczo kopiować rysy i farby. Jest to praca mechaniczna, nad którą ręka i oko, nie serce, nie myśl, nie imaginacya, pracuje. Tu ręka isć powinna za natchnieniem obudzoném pięknoscią i wdziękami natury. Tém lepiej, gdy ręka ta posiada już niejaką wprawę. Ale wielu z najcelniejszych malarzy, bez żadnych poprzedniczych usposobień, nie mogąc oprzeć się wrodzonemu zapalowi i powołaniu, doszli mistrzowskięj doskonałości, a przynajmniej rozpoczęli świetny swój zawód, bez innego nauczyciela, jak własne żywe uczucie i śmiała wyobraźnia. Pani chociaż tylko dla własnej przyjemności

doskonalić chcesz swój talent, uważaj jednak naukę już nabytą jako sługę uległą woli wyższej, woli uczuciem piękności i zapalem powodowanėj. Z niój tylko wypłynąć może doskonałość i tyśiące miłych wrażeń dla samėj Pani i jej serca.

—Patrz Pani! tło naszego obrazu jest piękne niebo zaczérwienione od zachodu mocnym ogniem zapadającego słońca, jakby łuną wulkanu; na wschodzie ciemno-błękitnieje, nocną już powlekając się barwą; na śródku więc jest światło-cień, to jest, walka wieczora ze dniem, która się odbija na wodzie, i to najtrudniejsza sztuka dla kolorytu.

—Główne pole obrazu, jezioro. W niektórych liniach zlewa się z horyzontem kończącym widnokrąg; w niektórych węższe, dozwala widzieć las, klasztor, i inne przedmioty na drugim brzegu,

tak jednak odległe, że, jakby przejrzy-
stą mgłą osłonięte, tają w niej swe
kształty; наконец wyspa blisko nas naj-
wyraźniej daje się rozróżniać ze swą go-
rejącą strefą, i najmocniej uderza w oko,
a zatém najłatwiej wejdzie do obrazu....

—Dalej Pani! póki słońce na nie-
bie, a żywe wrażenie w duszy... śmia-
ło.... zakreślajmy konturna....—

Jakby natchniona nowém pojęciem
i uczuciem, Marya wnet rzucać zaczęła
sztrychy ręką tak pewną i śmiałą...
w oczach jej i na czole taki zapal i o-
chota jaśniały, że Półkownik, patrząc to
na stolik i Maryę, to na krajobraz, ci-
snął na ziemię ołówek, który miał w rę-
ku dla poprawiania rysunku, i zawołał:

—To byź nie może! Pani mnie
zwiodłaś!—

—Jak to?—zapytała Marya, zatrzy-
mując się.

—Oczywiście Pani nie pierwszy raz rysujesz z natury, i wcale nie potrzebowałaś moich lekcyj.—

—Pan żartuje—rzekła Marya.

—Wierz mi Pan—odezwał się Romuald—że córka moja nigdy nie rysowała inaczej, jak ze sztychowanych obrazów.—

—A więc to cud—rzekł z uniesieniem Półkownik—cud obudzonego uczucia i ożywionej duszy, rozwijającej nagle nadzwyczajny talent.—

—Kochana moja Marynia!—rzekła Generalowa, całując ją w czoło.

—Nie ma tu żadnego cudu—odpowiedziała Marya.—Słowa Pańskie dały mi nowe wyobrażenie o sztuce i niejakię zaufanie w siebie, dawna nauka wspiera mnie jakiegokolwiek, a więc dzięki za to Panu. I na dowód, że nie ma

cudu, proszę Pana o pomoc, bo uwięźnę na wyspie.—

Półkownik podjął ołówek, i wspomagając Maryę, nadawał jej rysunkowi pewniejsze formy i wyspę oznaczył.

W pół godziny ukończył się zarys.

—Otoż go mamy na papierze—rzekł Półkownik.—Słońce! możesz teraz sobie zachodzić. Inaczéj zawołałbym, jak Jozue: „Stój!”

—Ale—mówił dalej, wpatrując się w rysunek—obraz nasz może być pięknym wprowadzie, jednakże trzebaby go jakoś zrobić interessowanym. Oko widza może go podobać; ale myśl, ale imaginacya nie znajdzie w nim do czego się przywiązać, nad czém się zastanowić, i jednoczyć się z myślą malarza, lub ją zgadywać i śledzić. A przecież to najwięcéj dodaje uroku obrazowi.—

—Cóż więc tu dodadź?—zapytała Marya.

—Jak się Pani zdaje? jak się nareście Państwu wszystkim zdaje? Proszę o projekt.—Sam też zamyślił się.

—Wyrysujcie—rzekła Generalowa—rybaków wyciągających sieć na wyspę.—

—Nieźle — odpowiedział Półkownik—ale scena ta nadto pospolita. Na wszystkich krajobrazach brzegów morza lub jezior spotkasz się z rybołówstwem.—

—Wyrysować — rzekłem — mnicha przechadzającego się niedaleko klasztoru po brzegach jeziora. Domyślać się można będzie, że o zachodzie słońca odmawia wieczorne modlitwy. Żywa imaginacya wieleż to myśli nad tym mnichem rozsnuje!—

—Prawda — odpowiedział znowu Półkownik—pomysł wyśmienity. Tylko

widzi Pan, klasztor tak od nas odległy, że za ledwo go dojrzeć możemy; a jakże moglibyśmy widzieć przechadzającego się mnicha, i jeszcze w cieniu, jakim teraz przy zachodzie słońca cały brzeg tamten jeziora pokryty?—

—Daj Pan—odczuwał się Romuald—strzelca na łódce polującego na kaczki, i przy nim pięknego wyźła.—

—Rzecz także trochę pospolita, a zmieni całą treść obrazu na polowanie na kaczki.—

—Jakiż własny Pański projekt?—zapytała Marya.—

—Widzisz Pani ten obłoczek na niebie lekkim wietrzykiem za słońcem na zachód pędzony? Sam jeden, zbieg jakiś że z drugiej części nieba, od wielkiej chmury oderwany, która nań ciążyła, goni za promieniem słońca.... Niebaczny! zginie w jego ognisku! Te-

raz postawmy na wyspie jakiegoś nieznanego samotnika, opartego o dąb starożytny; wygnańca, może uciekającego od prześladowania i przemocy, a wpatrującego się w ten obłok, który jest godłem jego losu i zablakania!...—

—Brawo! Półkowniku!—przerwała Generalowa.— Myśl czuła i oryginalna.—

—Więc ją jutro dokonamy. Naszemu samotnikowi damy postać i ubiór bohatera Pani upodobanego Rynaldyniego—dodał, uśmiechając się.

—Zgoda! i owszem!—rzekła śmiejąc się także Generalowa.

—Póki samotnik Pański był prześladowanym wygnańcem—odezwał się Romuald—mógłby wzbudzać interes; ale gdy go Pan masz wyobrazić bandytą uciekającym zapewne nie od przemocy, ale od miecza sprawiedliwości, to lepszy byłby mój poczciwy strzelec, a na-

wet wyżej, jako wierny stróż i przywiązany przyjaciel.—

—Jak się Panu podobać będzie. Jutro weźmiemy się do kolorów; zrobimy więc, co najlepij do obrazu przypadnie; byle słońce tak piękny, jak dziś, dało nam zachód. A nader niedługa nauka postawi Panią niezawodnie wyżej od nauczyciela, o tyle, o ile świeżość i swoboda myśli wyższą jest nad wyczerpanie ducha lub otrętwiałość serca, a zatém i ręki: bo wierz mi Pani, że źródło wszelkich w sztukach pięknych doskonałości jest w duszy; ręka jest tu tylko prostym rzemieślnikiem, duch jest mistrzem i twórcą.—

Wieczór zszedł nam najprzyjemniej. Półkownik, biorąc pochop od Rynaldyniego, opowiadał różne wydarzenia podróży z rozbojnikami włoskimi; opisywał piękne okolice krajów, które

przebywał; to nakoniec wojenne Napoleonowskie wypadki. Słuchaliśmy go z prawdziwém upodobaniem: bo opowiadał tak zajmującym sposobem, tyle życia, czucia i prawdy było w jego powieściach, że znać w nim było razem i malarza, i człowieka wysokiego usposobienia i nauki.

Marya oko zeń swoje wtenczas tylko sprowadzała, gdy on swój wzrok na nią obrócił; a co jednak, zwłaszcza w interesownszych scenach, często się zdarzało. Sam tylko Romuald, więcej opowiadaczem jak opowiadaniem zajęty, śledził wszystkie jego wzruszenia i myśli, które, lubo zdawały się najmniej wątku powieści nieodstępować, jednakże nie wszystkie na jaw wychodziły. Niektóre, czy to strzegąc się śledczej uwagi Romualda, czy to ze zwyczajnej temu człowiekowi skrytości, wymknę-

te z ust, zdawały się wnet mu nazad do głowy powracać i tam się zatajać, zostawując pole domysłóm, chlubniejszym dlań może, niżeli niedomawiana rzeczywistość.

Muzyka zakończyła wieczór. Generalowa obowiązała wnuczkę, aby grała na fortepianie ulubione jęj Polonezy Ogińskiego.

—Jakże się Panu podobają?—zapytała Półkownika.

—Rzewne są i pełne tkliwego uczucia—odpowiedział; kazał potem przynieść swoje skrzypce, prosił Maryi o powtórzenie, i akkompaniował jęj z takim serdeczném przejęciem się myślą autora, z taką harmonią i sztuką razem, że stokroć podniósł wartość kompozycji i exekucyi na fortepianie; a wierzyć trudno było, że je grał raz pierwszy.

—Któż teraz rozstrzygnie—rzekła

zachwycona Generalowa — czyś lepszy malarz, czy muzyk? Półkowniku! —

Nie nie odpowiedział on na tę pochwałę; pokiwał głową, uśmiechnął się po swojemu, ani chluby, ani fałszywěj skromności nie udając.

Przy rozejściu się na noc rzekł do mnie Romuald, co i do mojego przekonania traślało: — Szczególny człowiek! Co za rozmaitość talentów i nauki! Posiada on wszystko, czém sobie podziwienie — nie, czémby sobie zaufanie mógł zjednywać. Cóżkolwiek bądź, mam jakąś doń odrazę, coś mię odeń odpycha. Byłżeby to instynkt? lub złe przeczucie?... nie wiem. Ale przerwę naukę Maryi po jutrzejszėj możej lekcyi; nie chcę dla niěj takiego nauczyciela. —



V.

NAZAJUTRZ odebrałem listy donoszące mi o zgonie mojego krewnego na Białej-Rusi. Ważne ztąd dla mnie wywiązały się interesa, wymagające rychłego mojego tam przybycia, a nawet dłuższego zamieszkania. Bez zwłóki więc wyjechałem od Generalowćj, a nazajutrz i z domu. Nie oświadczałem się Romualdowi z mojami uczuciami dla Maryi: bom wiedział, że od nićj samćj nie miał wzajemności; zdawszy więc los mój na wolę Bczką i na opiekę

Generalowój, obiecywałem sobie przyśpieszyć ile można najrychleń mój powrót.

Inaczěj jednak się stało: lat dwa z górą zamieszkałem na Białěj-Rusi.

W kilka miesięcy po mojém tam przybyciu nieszczęśliwe ztąd nowiny uderzyły mnie jedna po drugiěj jak pioruny. Najprzód doniesiono mi o śmierci Generalowój; a wkrótce o okropnej wiadomości, którěj z początku wierzyć nie chciałem, że Marya uciekła z domu ojca i ujechała z Półkownikiem za granicę.

Trudno mi wyobrazić Panu, jak mię głęboko ta wiadomość dotknęła. Lecz nie moje własne, a nieszczęśliwego tego starca cierpienia mam Panu opowiadać; a i w tém nawet dokładnym byź nie mogę, bom nie był obecny. Donaszano mi wprawdzie o jego

rozpaczy, o jego ciężkiej potém chorobie, nakoniec o odzyskaniu zdrowia ale o zupełném odosóbnieniu się od ludzi i towarzystwa, nakoniec o wyprzedaniu tutejszego folwarku, w którym wszystko mu podwójne jego nieszczęście przypominało, i o przeniesieniu się do drugiego, ztąd o mil dziesiątek, w którym i dotąd mieszka. Powróciwszy więc w te strony, nie znalazłem już Pana Romualda.—Po niejakiem czasie odważyłem się go nawiedzić. Przyjął mię czule. Rozplakaliśmy się. Poznałem, że ten człowiek nie unikał serc szczerze mu życzliwych i prawdziwie jego nieszczęściem dotkniętych, ale chronił się od fałszywego politowania, tak podobnego urągania.

—Byłeś przy pierwszej lekcyi Maryi... to jest, przy pierwszym kroku jęj zguby...—rzekl mi on.—Kochałeś ją—

wiem i o tém. Pamiętasz moję odrazę ku temu człowiekowi? Niestety! było to przeczucie ojcowskiego serca!... Ale niegadajmy o tém, proszę cię i zaklinam—dodał, uprzedzając moje pytania.—Stało się i nie wróci!... Po matce wzięła ona rysy twarzy, piękność nadzwyczajną, i serce niełatwo zapalające się namiętnością, ale raz zapalone już ugasić się niemogące. Wychowaniem chciałem zmienić tę naturę, której się domyślałem.... O Boże! czegożbym nie poświęcił dla zabezpieczenia jęj spokojnego szczęścia!...—Zamilkł. A ja, nie mogąc udręczać go moją ciekawością, nie dowiedziałem się szczegółów becznej intrygi, przez którą ten szatan wcielony potrafił uwieść Maryę; nie mogłem jednak nie zapytać:—Czy żadnych o niej nie ma wiadomości?—

—Uciekli do Pruss—rzekł.—Potém

nie nie wiem i wiedzieć nie chcę. Przy-
chodzą do mnie listy; ale, poznawszy
rękę na kopercie, odsyłałem nazad, nie
otworzywszy... Dość o tém, proszę.—

Dalem więc pokój pytanióm, zmart-
wiony do głębi widokiem tego wyzu-
cia się zupełnego ojcowskiego serca
z rodzicielskich uczuć.

Oto już piętnaście lat upływa po
tém nieszczęśliwém wydarzeniu. Zapom-
niano tu o Maryi i o jej zwodzicielu;
zwłaszcza, że i Romuald podobno dziś
raz pierwszy po swém ztąd wydaleniu
tu się okazał. Kto był ten zwodziciel?
zagadka dotąd z zupełną pewnością nie
rozwiązana. Mniemano go być wprzód
szpiegiem Napoleona, wyslanym dla
zbadania kraju przed przewidywaną już
wojną. Ale gdy wkrótce po uciecz-

ce jego z Maryą wyszukiwano tu ściśle, za odezwą rządu francuzkiego, niejakiego Włocha Kalliboty zowiącego się, wodza bandytów włoskich, który był wprzód Jezuitą, a przed ostatniem święceniem uciekłszy z klasztoru w góry, niesłychane tam dokazywał excessa, aż nakoniec pojmany przez wojska francuzkie, osadzony w więzieniu i skazany na śmierć, w wigilią exekucyi potrafił umknąć, a nabytemi zamłodu i w zakonie naukami i szczególniejszą zręcznością torował sobie drogę w ucieczce; gdy nadto rysopis tego człowieka odpowiadać zdawał się postaci Półkownika; wieść zatém pierwsza upadła, a ta druga zaczęła nabierać prawdopodobieństwa.

Wkrótce krążące nowiny o Maryi potwierdzać ją zdawały się.

Rozpowiadano bowiem, że ją wi-

dziano w Gdańsku; że tam wzięła szlub z Półkownikiem; że ztamtąd udali się do Berlina; że tam nagle napadła policya na ich mieszkanie; i że, gdy Półkownika ująć chciano, on strzelił i zabił policyanta, a potem sobie w leb wy-
palil.

Co się stało z Maryą, długo nie było żadnej wieści.

Nakoniec przed laty kilką przybyłem ja do Wilna na czas dłuższy, i poznałem się tam z jednym z odległych ziomków naszych, bo mieszkańcem Podola, Edmundem S...., który pierwszy raz był w Litwie i nigdy nie słyszał nawet o Maryi.

Powracal on właśnie z Karlsbadu; i opowiadając szczegóły swojej podróży mniej z resztą interessujące, (bo wielu to co rok mamy odbywających ona?), dodał, że w Dreźnie poznał artystkę zna-

komitą, Polkę, malarkę krajobrazów, a to szczególniejszym sposobem.

Instynktowa ciekawość objęła mię. Prosiłem, aby mi opowiedział to swe zdarzenie.

—Mając—rzekł Edmund—zabawić kilka tygodni w Dreźnie, nie stanąłem w domu zajezdnym, ale wyszukałem sobie kwatery, która mi się zdarzyła w kamienicy staruszka, poczciwego jakiegoś Niemczury. Gdy się on dowiedział, kto jestem, powiedział mi, że w domu jego mam ziomkę, mieszkającą od lat dwóch, która teraz jest w najbiedniejszym stanie, schorzała i w nędzy. Nim ją choroba paraliżu w nogach dotknęła, żyła ona, dając lekye rysunku: bo jest doskonałą w téj sztuce; ale teraz żyje tylko z jałmużny od swych uczenic i z miłosierdzia mojego—mówił

Niemiec — bo nie mam serca wyrzucić ją z pokoiku na poddaszu, do którego z biedy się przeniosła, nie mogąc zapłacić lepszego. Gdy jednak przyjdzie zima, nie będę mógł dać jej ciepłego mieszkania; i kto wie, co się natenczas z nią stanie? A żal mi tej kobiety, bo jest cuotliwą i dobrze wychowaną; i mniemam, że nieszczęście jakieś nadzwyczajne, o którym nie mówi nikomu, popchnęło ją do tego stanu.—

Zainteresowany tém opowiadaniem gospodarza swojego Edmund, postanowił nawiedzić nieszczęśliwą. Jakoż wgramolił się do jej izdebki, i znalazł tam nędzę przechodzącą opisanie Niemca i własne wyobrażenie.

Po krótkiej rozmowie poznał on łatwo, że ta kobieta, młoda jeszcze i piękna, była wybornie wychowaną; że miała rod swój i prawdziwe nazwisko; i

zgodził się w duszy z gospodarzem, że ją nieszczęsne jakieś zdarzenie przywiodło do korzystania na sposób do życia z umiejętności, której na uprzyjemnienie tylko onego kiedyś zapewne nabyła.

Zapłakała rzewnie, posłyszawszy mowę ojczystą; rozpytywała się o stroinach tutejszych; ale mieszkaniiec Podola nic jęj o tém powiedzieć nie mógł.

Wrócił Edmund do gospodarza, zapewnił dla nieszczęśliwěj lepszą kwatere i wygody, wezwał i zapłacił medyka; a na odjeździe, odwiedzając ją, ujrzał nagrodę swego wybornego czynu, bo znalazł ją rysującą nad stolikiem.

Podziękowawszy ona najczulěj Edmundowi za jego dobroć i wsparcie, prosiła, aby na pamiątkę jęj wdzięczności wybrać sobie raczył kilka krajobrazów jęj ręki.

Edmund jest miłośnikiem i znawcą malowideł; obejrzawszy więc tekę, uznał, że kilka sztuk bez wyboru nawet wziętych nagrodziłoby aż nadto jego wydatki; nie chciał więc przyjąć ofiary; ale rysownicza tak usilnie nalegała, tak czule i ze łzami błagała, aby dozwolił pracy jej przynajmniej być w ziemi ojczystej, gdy sama tam być nie może, że na koniec Edmund wybrał trzy rysunki.

Jeden z nich zdawała się ona chcieć zatrzymać. Był on wprawdzie najpiękniejszym. Edmund, postrzegłszy tę chęć, odłożył natychmiast obraz do teki. Lecz po niejakiem wahaniu się rzekła artystka:—Nie, Panie! weź go Pan, weź, proszę. Jest to wizerunek miejsca niegdyś mi najmilszego!... jest to pamiątka... którą ja mam zawsze obecną w duszy.... Łatwo mi będzie powtórzyć go... a jed-

nak bodajbym go nigdy nie rysowała!!! Jest to kopia z pamięci zdejmowanego niegdyś przeze mnie oryginału, którego nie ujrzy już nigdy me oko....—Płacz przerwał jęj mowę.

—Z łaski Pana—mówiła potem—mam się daleko lepiej. Paraliż dozwala mi przynajmniej przechodzić się po pokoju; a mając ręce i głowę zdrową, będę mogła zapracować na kawałek chleba, dopóki.... go potrzebować będę.—

Edmund zapytał: czy, wróciwszy do kraju, nie mógłby jęj być użytecznym, oznajmując o jęj losie familii, którą ma bez wątpienia?

—Nie—odpowiedziała z głębokim westchnieniem.—Dla mnie wszystko się tam zawarło!.... Niestety! zasłużyłam na to!... lecz się mię Pan o nie nie pytaj... Jam z Litwy, a Pan z Podola, nie spotkasz więc nigdy może nikogo

z moich. Imie moje: Marya, które Pan już wiész zapewne, i które zresztą na rysunkach masz Pan podpisane. I Marya nie zapomni nigdy dobrodziejstw twoich, które jęj biedne życie choć na krótko przedłużyły.—

Edmund pożegnał Maryę, polecił ją przed odjazdem zostającym w Dreźnie ziomkóm, i złożył w ręku gospodarza kilkadziesiąt dukatów na jęj potrzeby.

Sluchając opowiadania Edmunda, coraz dowodnięj przekonywałem się, że to jest nieszczęśliwa córka Romualda.

—Oto są *pejzaże*— rzekł Edmund, otwierając tekę.—Ten sobie zatrzymać chciała.

Rzuciwszy okiem, odrazu poznałem dokładną kopię owęj pićrwszėj lekcyi przedkilkonastoletnięj nad jeziorem u Generalowęj. Zamiast obłoczka i

samotnika, był na jeziorze w łódce myśliwy na kaczki z wyżłem. Zrozumiałem więc zwrót uczuć Maryi, i łzą mi zaszły źrenice.

—Cóż to?—rzekł zdziwiony Edmund—Pan płaczesz! znalazłabyś Maryę?—

—Znałem, i znam jej nieszczęścia—odpowiedziałem.—Dzięki Panu, stokrotne dzięki za wszystko, coś dla niej uczynił; a dzięki Bogu, że mi zdarzył tę wiadomość o jej losie. Daruj Pan, że, szanując jej tajemnicę, nie opowiem dziś Panu całej tej smutnej okoliczności; lecz gdy mi się uda wydźwignąć tę ofiarę, doniosę i objawię Panu wszystko, abyś się cieszył zmianą losu tej, której najpierwszy podałeś dobroczynną rękę.—

—Jeżeli tak, to jeszcze przypominam—rzekł Edmund—że pisano mi poźniej z Drezna, że Marya nanowo parali-

żem tknięta była, że miała odjętą mowę, lecz że znowu wyratowana. Jąkania się tylko jęj trochę pozostało, zwłaszcza w chwilach wzruszenia, i trudność paralityczna w nogach.—

Porzuciwszy wszystkie interesa w Wilnie, leciałem do Romualda. Piérwszém mém doń słowem było:—Dziękujemy Bogu! córka twoja żyje! żyje Marya! Ratuj ją! Przywożę ci o nięj najpewniejszą wiadomość.—

Nie dał mi skończyć nieszczęśliwy ten, ale zakamieniały starzec.

—Ja nie mam córki—rzekł zimno i bez najmniejszego wzruszenia—nie mam, mieć nie chcę, i nie słucham żadnych twych wiadomości.—

—Ale ona w nędzy! w chorobie! między obcemi! w Dreźnie. Uwodziciel jęj dawno już nie żyje... Najnieszczęśliwsza! Miěj Boga w sercu!...—

Starzec pobiegł do swego pokoju, zamknął się, i mnie do siebie nie dopuścił.

Czekałem cały dzień; a nazajutrz, nim wstałem, on już wyjechał, nie mówiąc nikomu dokąd— a więc uciekał ode mnie.

Wróciłem do siebie, przemyśliwając nad sposobami skruszenia tego wyrodnego uporu, gdy nazajutrz odebrałem list od Romualda. Pamiętam go co do słowa. „Ponieważ Pan wieśz, (pisał on), gdzie jest.... ona (córką ją swoją nazwać, ani imienia wymienić nie chciał), i ponieważ jest w nędzy, przeto posyłam tu Panu jój własność, to jest, zapis nieboszczki babki jój, Generalowój, zdwojony procentem. Lecz, jeżeli nie chcesz starój i nieszczęśliwój głowy przyjaciela wyprawić na tulaćtwo, jeżeli wolisz, abym krótkie to i nieszczęśliwe życie moje w spokojności dokoń-

czył, a kości me aby w rodzinnej spoczywały ziemi, to nie wspominaj mi nic więcej o tém... Niewydziedziczam jęj... nie przeklinam.... Po mojej śmierci niech wszystko zabierze — wszystko — ale... na grób mój nawet niech nie wchodzi.”

Krew we mnie się ścięła na tak głęboką zatwardziałość serca ojca ku własnemu dziecku, serca tak niegdyś czułego i dobrego ku dziecku tak niegdyś ukochanemu!... Przysłane pięćset dukatów przesłałem wnet do Edmunda, prosząc, aby się postarał przesłać je jak najrychlej Maryi, ukrywając najstaranniej przed nią, z kąd pochodzą te pieniądze; uprzedziłem go tylko, że nie ode mnie; i prosząc go, aby mi wskazał drogę komunikacyi z Maryą: miałem bowiem nadzieję, że prędzej czy później ojciec jęj da się zmiękczyć i ubłagać.

Wkrótce odebrałem odpowiedź. Donosił mi Edmund, że sam znowu i na lat kilka wyjeżdża za granicę; że pieniądze dójdą Maryi, jeżeli ona żyje; i że w oddaniu ich zastosuje się zupełnie do mojej prośby, lub mi je nazad odeszle.

Z Drezna znowu napisał do mnie, że znalazł Maryę w szpitalu; że zdrowie jej się tak pogorszyło było, że pracować nie mogąc, musiała uciec się do miłosierdzia publicznego; że skutkiem wsparcia, jakie przywiózł, wydobył ją z tamtąd, i załokował na wsi w bliskości biegłego doktora, który, jeżeli nie zupełne uzdrowienie, to przynajmniej znaczną ulgę jej obiecuje; że znosi ona swoje nieszczęście najcierpliwićj; i że nakoniec w oddaniu pieniędzy postąpił podług danej sobie instrukcyi.

Odtąd już lat parę upłynęło, jak

znowu nie nie wiemy o losie Maryi: bo Edmund dotąd bawi za granicą, a nie wiem dla czego, przez zapomnienie, czy może uproszony od Maryi, nie przysłał mi żadanego adresu. Może już zakończyła śmiercią nędzne swe, zgryzotą i utęsknieniem zatrute życie. Jeżeli tak jest, złączą się oni zapewne wkrótce z ojcem: bo starzec wiekiem i smutkiem zgnębiony niedalekim jest także zgonu. Oby przynajmniej w ostatniej swej godzinie żyjącej lub umarłej córce swój przebaczył! bo jakże mu i Bóg przebaczy?—



VI.

WRÓCILIŚMY pod kościół. Spójrzałem na starca, nie wiem, okiem politowania czy zgrozy.... Dziwiono się w tłumie, że tak się spóźniają nieszpory.—

Któs odpowiedział, że Xiądz Kuźmicki od dwóch godzin spowiada przybyłą jakąś chorą kobietę, którą z budki ladajakićj ledwo wysadzili.

Wkrótce dzwony się odezwały, i otworzono kościół. Tłum napelniał świątynię. Największa liczba spowiadając się pokilkakrotnie i z całego życia przez

wszystkie dni Jubileuszowe, miała na ostatnich nieszpórach przyjmować komunię.

Nabożeństwo rozpoczęło się od processyi, która, obszedłszy kościół, zatrzymała się nad krzyżem do wkopania przygotowanym. Poświęcił go celebrujący, a my własnymi rękami zakopaliśmy go w ziemię.

Powróciliśmy potem do kościoła, i wszedł na ambonę Xiądz Kuźmicki. Lubo słowa jego bez przygotowania z uniesionego serca płynące wrażały się głęboko w pamięć, lecz po tak długim czasie treść ich tylko przypomnieć mogę. *„Pokój wam! (mówił on). Pokój mój zostawuję wam! Słowa, któremi Chrystus Pan pożegnał Apostołów, odchodząc sam do Ojca w niebiosa, powtarzam ja niegodny sługa Jego, odchodząc od was po tych uroczystych*

„modlach do Boga, któreśmy z całém
 „Chrześcijaństwem w tej świątyni wzno-
 „sili. Oby po nich pokój prawdziwy,
 „pokój cnotą i bojaźnią Bożą zjedna-
 „ny, a łaskę Bożą wzajem jednający,
 „był w sercach waszych na zawsze, i
 „całe życie wasze, i ostatnie życia go-
 „dziny osładzał!

„Bracia moi! patrzcie, jak liczne
 „jest zgromadzenie nasze! Pół wieku
 „minie.... któż z nas zostanie? Nowe
 „pokolenia na grobach naszych odma-
 „wiać będą Jubileuszowe modlitwy,
 „tak, jak my dziś klęczymy nad skle-
 „pem, w którym przedpięćdziesięciolet-
 „nie pokolenie spoczywa!... Kilku, al-
 „bo najwięcej kilkunastu starców, przy-
 „pomną dzień dzisiejszy, nas, i słowa
 „moje, tak, jak ledwo kilku jest
 „dziś między nami, którzy niepewną
 „pamięcią przypominają przedpółwiecz-

„ne Miłościwe Lato; a są wpośród
 „nas jakby zostawieni dla przyniesienia
 „rychlej świadectwa o dniu dzisiejszym
 „i o nas ojcom naszym w wieczności.

„O bracia moi! jakież to będzie
 „świadectwo? Możecież czystém i spo-
 „kojnym sumieniem wyrzec oto zaraz
 „przed świętą kommunią, przed tym nie-
 „bieskim pokarmem duszy: *Panie! o-*
 „*tom już godzien, abyś wszedł do przy-*
 „*bytku serca mego!* bo słowa zwyczaj-
 „ne: *Panie! nie jestem godzien*, ozna-
 „czają tylko pokorę i skruchę grzesz-
 „nika, przez które właśnie staje się on
 „godnym pożywiania ciała i krwi Pań-
 „skiej.

„Głos Najwyższego Pasterza, głos
 „powszechnego Ojca w Chrystusie, o-
 „twierając nam skarby duchowne Ko-
 „ścioła, ogłosił rok *przejednania, od-*
 „*kupienia i łaski*. Obwieścilem wam

„na początku te słowa jego; na końcu
 „chciałbym przeniknąć do głębi serc
 „waszych, i widzieć najskrytsze myśli
 „wasze, i przekonać się, czyli nadzieje
 „nasze i prace szczęśliwy daly skutek?
 „czyli przejednanie obrażanej długo
 „niedowiarstwem.... co mówię niedo-
 „wiarstwem? sromotną bezbożnością
 „Religii nastąpiło nakoniec? azatém
 „czy łaska Bozka ogarnęła was, i czy
 „przeniknęła do skruszonych, upoko-
 „rzonych i odtąd już na zawsze prawo-
 „wiernych i cnotliwych serc waszych?
 „czyliście się odnowili nakoniec w naj-
 „główniejszej chrześcijańskiej cnocie,
 „z której wszystkie inne wypływają:
 w *miłości Boga i bliźniego?*

„O! jam nieudolny przeniknąć tak
 „głęboko dusze wasze! ale widzi je i
 „przenika Ten, przed którym nie skryte-
 „go w całym stworzeniu—Bóg, który

„z ołtarza tego patrzy na was; Bóg,
 „który za chwilę ma złączyć się z wa-
 „mi; Bóg, który słabości daruje, u-
 „por i zatwardziałość potępi. W obli-
 „czu więc Jego i w Imie Jego Święte
 „wzywam was do wzajemnego przejed-
 „nania się i przebaczenia. Oto ostatnia
 „chwila, w której półwieczne brzemie
 „obrazy Bożkiej, ciężące nad nami, znik-
 „nąć ma i stopnieć przed promieniem
 „miłosierdzia Jego i łaski wyblaganej
 „szczerą modlitwą, szczerą skruchą i
 „pokorą, i nakoniec szczerą miłością
 „ku Niemu i wzajemną ku sobie. *Ve-*
 „*nit hora! et nunc est!...*

„Ktokolwiek więc czujesz w sobie
 „by najmniejszą kroplę gniewu, nie-
 „nawiści, zażalenia, krzywdy odebra-
 „nej, lub uczynionej bliźniemu twe-
 „mu, kwap się do pojednania go lub
 „do odpuszczenia mu, kwap się do

„jego serca i własne mu otworz!...
 „Nie masz tu, jako nie ma przed Bo-
 „GIEM, wyższych i niższych. Wszyscy
 „jesteście bracia w Chrystusie! Brater-
 „ską więc miłością, miłością, jaką pa-
 „łał ku nam Chrystus na krzyżu, niech
 „się zapalą i goreją dusze wasze. I
 „niech ta chwila powszechnego prze-
 „jednania się będzie najdroższą pa-
 „miątką życia waszego i tego święte-
 „go Jubileuszu.

„A ja, kapłan Boga żywego, pod-
 „noszę ku Niemu ręce i modły moje:
 „O Boże! błogosław miłującemu Cię i
 „jednoczącemu się w Tobie ludowi
 „Twemu!... Niech miłosierdzie Twoje
 „spłynie nań!... Rzeknij słowo, a będą
 „zbawione dusze nasze!”....

Ruch powszechny w kościele prze-
 rwał modlitwę. Cały lud się poruszył.
 Zapal nadzwyczajny ogarnął wszystkich.

Łzy potokami płynęły, łkania rozlegaly się po kościele.... Przeciskano się w rozmaite strony. Każdy szukał i padał w objęcia niechętnéj przed chwilą ręki. Słyszaleś tylko zewsząd:—*Daruj dla miłości BOGA!...—Przebaczam—niech mi tak BÓG przebaczy!...*—I przebaczający cisnął się w drugą stronę równegoż błagać przebaczenia.

Zadawnione nieprzyjaźnie, zakamieniale gniewy, mściwe nienawiści, skryte knowania, topniały we łzach. Panowie uściskali sług swych i poddanych; poddani, płacząc, rzewnie całowali ręce panów; małżeństwa zaprzysięgały sobie nanowo wieczną miłość i zgodę; dzieci pełzały po nogach rodziców, rodzice błogosławili dziatkóm....

O doskonały obrazie chrześcijańskiéj jedności!!! o święty zalewie nauki Zbawiciela, w którym w téj chwili tłumy

wiernych tonęły!... Takiem zapewne uczuciem, taką wiarą, takimi łzami, żegnali się niegdyś męczennicy ginący tłumami w katakumbach rzymskich, lub idący w szpony dzikich zwierząt, albo na stosy ogniste za wiarę Chrystusa!!! Ach! jeżeliby był ktokolwiek wtenczas, (a wątpię, czy był taki, któryby zachował jeszcze w sercu choć odrobinę pychy, nienawiści lub niedowiarstwa, któryby dotrwał w uporze i nie uległ temu ogarnieniu wiary i miłości), biada mu! biada!

Wtém w ostatnich ławkach pod chórem ukazała się nagle, jakby z pod drzwi grobowych powstająca, niewiasta, a raczej trup niewieści, i wysunęła się na śrzodek kościoła. Postać jej wysoka, twarz zeschła i wybladła, włosy czarne

w nieładzie spadające na ramiona, ręce wychudłe, które na przód wyciągnęła, i oczy czarne niezwyčajnym płomieniem błyszczące, przeraziły wszystkich.... Tłum zdziwiony się rozstał.—*Do ojca! do ojca!*—wymówiła ona przerywanym co sylłaba głosem. Odrzuciła rękę sługi chcącój ją wspierać, i targanym konwulsyjnym krokiem, krokiem nóg sparaliżowanych, postępowała przez kościół.—*Do ojca! do ojca!*—wymawiała zawsze, i tłum rozwierał się przed nią....

—Starzec stojący blisko wielkiego ołtarza obrócił na nią razem ze wszystkiemi wzrok swój.... zadrżał....—*To Marya! to córka moja!*—wykrzyknął.—*Oj-cze da-ruj! da-ruj!!! dla mi-ło-ści BOGA! Niech sko-nam przed oł-ta-rzem Zba-wi-cie-la, u nóg two-ich!*—I posąg ten chodzący runął u stop starca!...

—Przebaczam! przebaczam! o córko moja jedyna!—rzekł starzec, zachodząc się od płaczu..... Wtém zabrzmiał dzwonek, kapłan u ołtarza wzniósł świętą hostyę w górę... „*Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata!*”

KONIEC JUBILEUSZU.



DUCH OPIEKUŃCZY.

DUCH OPIEKUŃCZY.



I.

NAD JEDNYM z głównych gościńców prowadzących z głębszój północnej Litwy do Wilna sterczą rozwaliny starego zamku Jagiellonów.

Podróżni chętnie tam dociągają na noclegi i popasy, zwłaszcza latem: bo prócz wygodnej, niedawno od pioruna splonionej austeryi, nęci ich sposobność oglądania tych ruin, mieszkaniem

Świętego Kazimierza, i innemi kraju tego wypadkami, dawno już w głębi przeszłości utonionemi, sławnych.

Obok nich zabudowany piękny dworek dziedzica; a wewnątrz obszérnego zamku rozrasta się ogród, którego drzewa, opierając gałęzie na obwodowym murze, zdobią starca wiankiem z zieleni.

Mur ten, poszczerbiony w niektórych miejscach, łatwe daje do środka przejście; a ciągnie się po wysokim wale z ziemi, na którym wydeptane z obu stron odwieczne ścieżki do każdego tam wewnątrz i zewnątrz zakątka łatwo doprowadzają.

Na jednym rogu rozwalin wznosi się, siłą czasu niespożyta, baszta wysoka. Podziwiać trzeba trwałość muru i doskonałość pionu ścian jej grubych, przez które przebite okna zatrzymały jeszcze

dawną wąską podłużną formę, i ślady żelaznego kratowania.

U spodu téj baszty wzgórze z gruzów zasypało wejście do podziemnych sklepów, które przed laty kilkadziesiąt jeszcze odkrytém było.

W chwilach wieczornych, gdy księżyc pełne swe oblicze po litewskiém tocząc niebie, wpatrywać się zdaje z wysoka w te dawnéj potęgi zabytki, wspańsalsze i uroczystsze przybierają one kształty od baszty.

„Olbrzymim słupem łamie się cień bury,
Spadając w fosse,” (*)

która rzeczywiście kiedyś otaczała zamek; a której ślad jest widoczny, i rozeznać się daje po świeższej i zielniejszej murawie, rosnącej bujnie na

(*) Grażyna.

jéj dnie wilgotném, choć już zrównaném z całą powierzchnią.

Dziedzic tego miejsca, wraz po pamiętnym 1812 roku, wrócił do tego ojczystego swego siedliska. Wczacie jego nieobecności rodzice mu pomarli; a Pólkownik (taki był stopień jego) ujrzał się dojrzałym, a nawet przejrzałym w pewnym względzie mężem, w pustym swym domu, który przed dziesiątkiem lat młodzieńcem opuścił.

Wejrzyjmy w stan duszy, myśli i serca jego.

Człek każdy jest zagadką, mniej więcej tajemną, mniej więcej zawiklaną, której *słowo* ukryte przed światem, a często i przed sobą samym, nosi on w najgłębszej tajni swojego serca. Słowo to zawiązuje się tam, jak plód w żywocie matki, w najpiękniejszych dniach

wiosny życia jego. Karmi go młodzień-
 niec, a potem dojrzały mąż, najczystsza
 treścią swojej krwi. Jest ono duszą je-
 go duszy. Poświęca on dlań wszystkie
 usiłowania, zabiegi i prace. I czy to
 dojrzewając przybiera ponętne formy
 niewiasty, czy świetną marę sławy, czy
 z powszedniejszych pierwiastków wy-
 nikle rozwija się w żądze bogactw i
 światowego znaczenia, lub tym podob-
 ne, zawsze jest ono *słowem* życia spo-
 czywajacém w sercu każdego, przez
 które przepływając krew, odświeża się
 na niem, i żywiej potem płynąc, całe
 jestestwo nasze nowemi siły, nowym
 zapalem orzeźwia.

Póki tego słowa w człowieku, póty
 i szczęścia człowieka!!!

Bo biada temu, i stokroć biada, kto
 tę zagadkę swoją przedwcześnie roz-
 wiązał!... komu namiętności niebacznie

i bez przerwy drażnione i podżegane słowo jej żywym ogniem spaliły! lub komu zawody nadziei, gorzkie troski i niedole, czarna niewdzięczność, lub niesprawiedliwa poniewierka ludzka, zatrutym jadem rozpaczy wpłynęły do serca, i zamorzyły tam troskliwie pielęgnowany ten załazek życia i szczęścia!!! Wytrawia się on natenczas i ginie; a serce zostaje próżném, zwyczajne tylko cielesne odbywajacém funkcyę, bez żadnego na duchowne życie wpływu; a człowiek, nie znajdując wewnątrz siebie ożywczego źródła uczuć i wrażeń, żebrować ich musi zewnątrz, tak, jak się żebruje chleba powszedniego w głodzie, lub pieniędzy w niedostatku... Ale, niestety! chleba i pieniędzy rzadko kto, uczuć i wrażeń nikt nie da, ani pożyczy.

W takim stanie wyczerpania ducha

słabnie umysł, niedoleźnieje ciało.... i
 na koniec trup gotowy dowleka się do
 grobu.

W różnych czasach rozmaite choroby napadały ludzi: choroby wyłącz-
 nie pewnym okresóm właściwe, zara-
 żające tłumy, i po pewnym czasie prze-
 szłe. Na nasz wiek przypadła ta, któ-
 réj symptomatów dotykam. Jest to wy-
 czerpanie moralne sił życia przed kre-
 sem onego fizycznym; jest to rozwią-
 zanie wczesne zagadki życia, jakieśmy
 to powiedzieli, właściwój każdemu, i
 z właściwych każdemu przyczyn roz-
 wiązanój.

Lecz choroba sama wynikła z jednéj
 ogólnej przyczyny, tém niebezpieczniej-
 szój, że, zarażając towarzystwo, niszc-
 czyła razem i źródło jedynego lekar-
 stwa.

Przyczyną tą był systematyczny zamach ośmnastego wieku na religię objawioną, i na każdą inną nawet; na wszelkie jej prawdy i zasady; pogrążający ludzi najprzód w wątpliwość; z wątpliwości, w wyrzeczenie się i wyrzucenie z serca; a nakoniec w zupełną pogardę tego jedyne go światła, od Boga danego na rozjaśnienie błędnej życia drogi, i jedyne go uczucia, do którego wraca zmordowana dusza, i z którego czerpa pokój, swobodę i cierpliwość na doczesność, na wieczność nadzieję.

Epidemicznie zarażały się nią towarzystwa i individua; i gdy tam wy czerpanie i zniszczenie wszelkich duchownych hamujących środków obla kało i w szaleństwo wprowadziło cały naród, Bóg, zachowując go od ostateczności, przez Jego samego tylko przewi dzieć się mogących, rzucił wien nową

zagadkę: *chwałę*, w osobie *Napoleona*. Jako nowe bóstwo, naród cały powitał ją i przyjął do serca.... A jednakże, jeżeli odgadywać odważamy się cele Opatrzności, daną mu była ona może na przekonanie, że i *chwała*, jako znikomy meteor, nie zastąpi prawdziwego światła, którego Bóg sam tylko jest źródłem i dawcą, a które jedynie szczęście ludziom zapewnić może.—

Po dziwnych odmianach świata i wyobrażeń lubo powszechna ta przyczyna znikła w ogólności, chroniczne jednak do niej usposobienie zostało aż dotąd; i chociaż narody w cofniętej rotacyi wróciły, zda się, na dawne swe pod krzyżem stanowisko, szczegółów jednak odskakujących z tego kola i chcących zmitrężyć wsteczny bieg jego jest mnóstwo....

Cóż ztąd? cóż znaczą niedoleżne,

przeciwnie powszechnemu przekonaniu, przeciwnie widocznój woli Opatrzności rojenia? Bezbożności i niedowiarstwa nie nauczają nanowo świata; a same próżnym usiłowaniem zmordowane, ulegną chorobie, (ba! i ulegają!), na którą lekarstwo w sobie i w drugich niszcza....—

Są jeszcze inni, (a z temi najczęściej się u nas spotykamy), którzy zmyślają tę chorobę, nie mając ani czasu, (bo są to zwykle młodzi ludzie), ani wypadków życia, ani namiętnych udręczeń, któreby im świat, ludzi i siebie obmierzić zdołały. *Słowo* ich życia jest w ich albo nierozwinięciem, albo zleniwiałem, a nie zamarlém. Budzić go dla tego tylko nie chcą, aby im codziennój pracy nie przyczyniło, aby nie przerwało gnuśnego próżnowania, w którym zapodobali sobie. *Leniwcce* to są, nie *wyczerpańce*, nie chcący pojąć, że w stanie, który

małpują, jest gorycz, nie chluba; że ich rozpacz, ich ponure zadumania, ich wierszem i prozą jęki i skargi, śmiechu nie litości są warte. Biada więc pierwszym! biada prawdziwie nieszczęśliwym! wstyd klamiącym nieszczęście!

Mając wejrzyć w stan wewnętrzny uczuć i myśli dziedzica opisanych na początku ruin, dla tego pokrótce dotknąłem rozbioru główniejszej dolegliwości czasów naszych, abym nie stosował za każdym razem ogółów do szczegółu, mówiąc o człowieku tém obłąkaniem właśnie dotkniętym i napróżno szukającym sposobu wybrnienia.

Młodzieńcem, jakieśmy to powiedzieli, opuścił Półkownik dom ojczysty; młodzieńcem, z wychowaniem, jakie najlepsze w owym czasie wziąć w Wilnie

można było; z sercem żywém, zdolném do najpiękniejszych uczuć i do najszlachetniejszych uniesień; ale z głową mniej więcej zarozumiałą, zaprzeczającą częstokroć pocziwym pochopóm serca, i napelnioną zdaniem wątpliwości i niedowiarstwa, łączącemi się wówczas najściślej z wyższą edukacją, wspieraną czytelnictwem albo czechy ówczesnie modnych francuzkich romansów, albo, co gorsza, dzieł tak nazwanéj filozofii, utwierdzających w niedowiarstwie, których wymieniać, jako powszechnie z treści i celów znanych, nie będę.

W takiém usposobieniu wpadł on w tłumy wojskowe francuzkie, i z zapalem się poświęcił nowemu ich natenczas a jedynemu bóstwu: *chwale*, jako świetnemu celowi wszystkich usiłowań i wszelkich nadziei, dla której krew i życie każdy ochotnie poświęcał.

Próby nieustraszonego mężstwa i zdolności w wojnach włoskich i zamorskich posuwały go rychło na wyższe coraz stopnie, i nakoniec dały mu miejsce w owym wybranym zastępie, który strzegł boku Cesarza Francuzów.

Tu naprzemiany, albo w obozach i na krwawych placach niezliczonych bitw Napoleona, albo w rozkoszach najświetniejszego dworu jego i najrozpustniejszego miasta, pędził i wyczerpywał życie.

I cóż to życie znaczyć mogło u tych, którzy je dziesięć razy na dzień utracić sami i odebrać drugim mogli? Puchar wina przed bitwą więcej obchodził i zajmował, niżeli potok krwi po bitwach płynącej. A jeżeli kiedy przy ogniskach obozowych, naprzeciw takichże ognisk nieprzyjacielskich, nasunęła się myśl posępna, że ta noc może być każdemu

ostatnią, to zamiast czulego z nią i serdecznego rozmówienia się, zamiast pójścia z nią do BOGA i westchnienia po Jego w niebezpieczeństwie opiekę, przepędzono ją, jako niewczesną i straszącą marę, oblano ją winem, okryto szyderstwem, równie jak tego, który ją pierwszy objawił.

Nazajutrz znowu przy ogniskach nie doliczano się wielu wczorajszych towarzyszków; pozostali jednak, nienauczeni przestrogą, po dawnemu tłumili w sobie i zagłuszali głos serca, rozumiejąc, że niemężką bojaźń śmierci głuszą i zwyciężają.

Bo prawie bez wyjątku taki był duch całej armii Napoleona, dla której *chwała* była wszystkiém, a reszta niczém; taki był duch całego narodu: bo w stare ścięte drzewo wiary świeżo wszczepiona nowa gałązka jeszcze się

była nie przyjęła dobrze; a sam szczeniacy tyle ją tylko pielęgnował, ile samoistnym dumnym widokóm jego posługiwać mogła; używając zaś ludzi jak narzędzi, nie dbał, z jakiego one były metallu, byle twardemi i hartownemi były. Dla tego główniejsi ministrowie jego, niektórzy apostaty, a wszyscy dzieci wyobrażeń rewolucyjnych, dozwalali wiedzieć ideóm religijnym, ku uroczystym tylko wspaniałościóm pychy ludzkiej wzywając jęj obrzędów.

Co więc w sercu i w głowie Półkownika niweczyło się w wojsku, to się nie naprawiało w stolicy i w towarzystwach wyższych, do których i ze stopnia i z zalet osobistych należał.

Nadeszła z kolei wojna hiszpańska, wojna bardziej ideów i zasad, niżeli zaborów krwawo bronionych przez jednych, przemożnie obalanych przez dru-

gich. Fanatyzm i nadużycia tak się tam ściśle łączyły z prawdziwą religią, że lud i duchowieństwo nie rozróżniało w tym względzie zamachów francuzkich; a Francuzi, nie mogąc także rozróżnić i rozdzielić tego odwiecznego tam małżeństwa, oboje razem niszczyli. Mógłże naprzykład charakter kapłański osłonić tego, który zajadłym gerylasóm dowodził, lub w imię BOGA zaklinał lud do rzezi nawet bezbronnych?

Tam więc Półkownik pozbył się do reszty ostatniego *słowa* dawniej wiary, które, jak zaniedbane podanie z lat dziecinnych w nim spoczywając, kiedy niekiedy się odzywało, chociaż w kilku bitwach widocznemu prawie cudowi winien był ocalenie swoje, i chociaż krzyżykowi na piersiach mu niegdyś przez matkę zawieszonemu winien był znowu życie, gdy go wzięte-

go w niewolę zamęczyć wraz z innemi miano.

Jak duchowy stan jego uległ wpływowi powszechnego zepsucia, tak silna budowa ciała niszczyła się i wiedla, nie tak bezustannym trudem i kilkakrotnemi ranami, jak bardziej rozwiezłym zbytkiem, zadawalniającym niebacznie codzienne pokusy i żądze.

W takim stanie rok 1812 wprowadził go po długim oddaleniu na ziemię ojczystą. Trakt, którym z Wilna brnął Napoleon dalej, nie był ten, przy którym leżała majątność Półkownika, przez stryja w jego nieobecności urządzana. Dowiedział się tylko o jej zupełnem przez wojska zniszczeniu, i obojętny na to, szedł dalej przy boku Cesarza, w którym, jak w słońcu promienie, jednoczyły się nadzieje milionów.

Ale się to słońce wraz zaćmiło: wracającym przemarzłym tłumóm zaszła drogę Berezyna; i tam raniony nanowo Półkownik wlokł się nędznie, póki mu ostatnie nie odbiegły siły; a gdy odbiegły, gdy gorączka trawiąca go od dni kilku i rozjątrzone rany żadnej mu nadziei życia nie zostawiały, obląkanego, konającego prawie, porzucono w pierwszym, jaki się nadarzył przy drodze, domu.....

Tym domem.... (widoczny znowu cud Opatrzności) był.... dom jego własny, położony, jak to widzieliśmy, przy drodze, którą teraz główne wojsko francuzkie do Wilna się wlekło—puste, dach tylko i ściany mające schronienie, zmarszlemi Francuzami napelnione, wśród których zaległ w kącie dogorywający prawie dziedzic onego.

Jeden tylko przywiązany do swego

Półkownika, a pocziwy, został przy nim *wiarus*, i pilnował ostatniej jego godziny. Powywlekał on trupy, jakby kłody zgniłe i zmarzłe; oczyścił i opatrzył jedną izdebkę; wyszukał w wiosce opuszczonej od mieszkańców kryjącego się jednego włościanina, ośmielił go, kilka talarami nagrodził, i do wspólnej posługi około chorego zniewolił; odpędzał tłumy maroderów, chcących nieraz zapalić dom i ogrzać przy pożarze skościałe ręce i nogi. A tymczasem dni kilka między życiem i śmiercią będący Półkownik ostatniem wysileniem mocnego swego temperamentu pokonał chorobę; i w chwili odzyskania przytomności, na pierwsze zapytanie: gdzie jest? usłyszał nazwisko rodzinnego swego domu.... i łzą mu zaszły źrenice!!!

Wiarus nie wiedział wcale, że był gościem swojego Półkownika; chłopiek

także nie wiedział, że posługiwał swemu panu; gdy więc on im to powiedział, pierwszy krzyknął:—*Vivat!*— a drugi ucałował nogi chorego.

Na tę wieść przez włościanina rozniesioną schodzić się zaczęli słudzy dworni. Niektórzy łatwo poznali swego paniezza, i cisnęli się około niego, pielęgowali go, starali się o wygodę, dobywali zachowane zapasy, i skrytemi ścieżkami z Wilna nawet sprowadzali pierwszym potrzebóm nieodbite rzeczy.

Nakoniec po dniach kilku zdołał Półkownik być przewiezionym do ustronnego swego folwarku, gdzie wygodny i ciepły znalazł pokój, i gdzie, otoczony życzliwą czeladką, sprowadziwszy z Wilna chirurga, kończył szczęśliwie przez naturę zaczęłą kuracyę.

Był on naturalnie jeńcem wojennym; ale, okryty powszechną łaską zwycięzcy,

został spokojnym na miejscu, i ukończył od razu i bezpowrotnie zawód wojskowy, któremu kwiat życia swego poświęcił, który chłonał dotąd wszystkie jego uczucia i myśli, po którym więc został bez uczucia i bez celu, jak wypróżniona szkatuła bez złota.

Tymczasem odmiany polityczne rychło jedne po drugich następowały; przechodził rok 1813 i 1814 wśród krwawej w śródku Europy wojny. Półkownik duszą i sercem był na wszystkich bitwach, na których olbrzym upadający obalających przywalał; przebiegał on z nim potem znajome sobie pola Francyi; mordował się w ustawicznych walkach ostatnich jego usiłowań.... i na koniec upadł wraz z nim, jak grenadyer, który pod oknem byłego już Cesarza w *Fontenelleau* w leń sobie wypalił.

II.

I TAKIM już został Półkownik. Wiarus jego przeszedł na ogrodnika, i z wojskową akuracnością raportował mu codzień, wiele drzew w ruinach rozkwitło, a potem wiele jabłek w nocy ukradziono; a Półkownik przeszedł jakoby na gospodarza, z różnicą, że pierwszy łatwo swój stan nowy polubił, że codzień się doń mocniej przywiązywał, a drugi stanem swym nowym pogardzał.

Dni mu schodziły szaro; myśli tęskne, bez związku i wątku, raz mu ka-

mieniem ciężły na sercu, drugi raz tłumem cisnąc się do głowy, mdliły go lub utrudzały. Zatrudnienie każde, choćby dla rozrywki tylko, mordowało tego człowieka, któremu niedawno trudy wszelkiego rodzaju łatwemi były. Stronił on od towarzystwa ludzi, którzy go dumnym osądzili niewinnie, a na których on zimnym i martwym, bez nienawiści, bez wzdargy, ale i bez miłości, poglądał okiem.

Niekiedy, pragnąc się odurzyć niejakimś silniejszym ruchem, szedł na polowanie; ale rychło wracał, porzuciwszy myślistwo: bo pierwszy strzał uderzający zwierzynę uderzał go także bolesnym przypomnieniem całej jego marciałnej przeszłości. . . . tak niedawniej, a tak niespodziewanie i raptownie przerwanej, że mu się zdawać mogło, iż obłąkanie jego gorączkowe mogło być

śmiertelném przejściem do innego zupełnie życia i świata.

Wilno gorzej go jeszcze udręczało, ilekroć go tam nieodbita zaprowadziła konieczność. Kamienie bruku paliły go jakby i zmuszały do ucieczki z murów. Deptał on tam wprawdzie ścieżki swęj młodości, ale mile jęj wspomnienia nie obudzały się w sercu, w którém się nie już obudzić nie mogło. Napotykanym dawnych kolegów mijał troskliwie; przypominających się zbywał zimno: bo znieść nie mógł swobodnego i spokojnego ich oblicza, i uśmiechu zadowolenia, nienawistnego mu, jakby urągliwe wykrzywienie się szatana. Napotykał kobiety—o! ładne i mile kobiety! któreby może chętnie rozpędzić nudę Napoleonskiego Półkownika, okrytego chwałą i znakami męztwa, zgodziły się; któreby na tę męzką, dorodną i przy-

stojną, ale martwą postać czarodziej-
ski swój urok życia narzucić chciały.
Ale twarz ta, kilkakrotnie tym urokiem
od piękności różnych krain narzucana,
i kilkakrotnie zeń boleśnie odarta, skrze-
pla i skamieniała nakoniec; a ognisko
namiętnych uczuć i tkliwych płomieni
przesytem i nadużyciem zgasił już on
w sobie do szczętu.

Półkownik pojął stan swój: bo się
mu on dotkliwie codziennie uczuć dawał;
poznał, że to jest stan jakiejś umysło-
wej choroby, która go ogarnęła; lecz
ani przyczyny jej śledzić, ani szukać
dzielnych a skutecznych dźwignienia się
środków, nie miał woli, a może i siły;
owszem, gdy z czasem zwolniały przy-
krzejsze jej symptomata i niecierpliwe
z nią targania się, nastąpił stan chro-

niczny, stan niejakiego pojednania, w którym choroba zrzeka się codziennej klótliwęj władzy, a zapewnia sobie spokojne dożywocie. Chory wzajemnie ulega układowi; nawyka do nieprzerwanego, ale mniej trapiącego, jęj społeczeństwa; a z czasem podoba w niém sobie nawet; i tak pobłażając jedno drugiemu wzajemnie, wloką się oboje przez świat bez skargi i zwady.

Dokonywając opisanie stanu wewnętrznego Półkownika, pozwolę sobie użyć wybornych wierszy znakomitego naszego poety, w których każde słowo jest charakterystyczną definicyą, w główniejszych przynajmniej rysach, podobnych jemu ludzi.

» Jest czas, który przywodzą niedole lub lata,
Gdzie człowiek nie już w siebie nie naciąga z świata;
Tém żyje, co ma w duszy; już do swego łona
Nie przyjmie żadnej kropli — czara przepelniona.

Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje.
Słowa mu bez uśmiechu, bez wdzięku nadzieje.
Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim ser-
ca grobie,

I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
Jak ów robak, co w własnej sklepi się osnowie,
Tak i on nie tę ciągnie, co się życiem zowie;
Codzienną ją snuje z duszy, z tylu wspomnień
marnych,

Z tylu żalów, nadziei, trosk i marzeń czarnych!
I tak codziennie i codziennie, długich dumań skutkiem,
Coraz grubszy, ciemniejszy osnuwa się smut-
kiem.

Nie sądź przecież, że chętnie swym się jadem
 truje.

Nie odpycha on pociech... lecz ich marność czuje.
Miał on niegdyś dni swojej młodości i chwały,
Dni miłości, dni boskie—i gdzież się podziały?
Gdzież są te szczęścia jego bogate zasoby?
Kwiatami swojej wiosny pouwieńczał groby;
I one zwiędły pod zimnym doświadczenia wzro-
kiem;

I wszystko już ochmurzył duszy swojej mrokiem.
Spokojnym jest; lecz czémże ta spokojność bywa?
Zimném, gnuśném i martwém morzem go opływa.
Morze to nie ma burzy, lecz i portu nie ma.

Świat przecież taki pokój nieraz szczęściem
mniema.

Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć lub marzeń,
Lecz inną wiarę, czucia, z własnych powziął
zdarzeń,

Pod barwą on innego żeglował okrętu.

Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu.

Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,

Taki został, skamieniał. Sama śmierć go skruszy.

Rycerz to jest, co ziemskie już zamknawszy boje,

Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoją.

Stał niemy posągiem wpośród świata wrzawy.

Niczem on już przybraną nie zmieni postawy.

Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy.

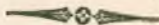
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;

A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,

Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie, wryte

trzyma (*).

(*) Morawski.



III.

BŁĄKAŁ SIĘ więc człowiek ten po ruinach sam za godło ruiny służyć mogący. Myśl jego, wprzód niestała i rozerwana, osiadać niejako, uspakajać się i wiązać się w ciaglejsze zaczęła ogniwa. Jedyna towarzyszka samotności jego stała się też jedyną treścią jego bytu, jedynym pokarmem znudniałej duszy. Z nią dni i tęskne przebywając wieczory, zapuszczał się w długie dumania, na swą przeszłość zwykle zwracane. Lecz gdy czas coraz odleglejszy zacie-
rał codzien obrazy przeszłości, gdy żywe ich farby codzien bledniały, gdy zgon

na pustej skale bohatera jego dowiódł mu znikomości chwały i potęgi człowieka, a zatem nawiódł myśl na porównanie i oszacowanie własnych niegdyś usiłowań i krwawych wawrzynów, natenczas i ta przeszłość jego świetna tracić dlań zaczęła swą wartość; i czyny swoje, rozkosze, dostatki, honory, rozpatrując pojedynczo, przerzucił je, jak jubiler szacowane niegdyś drogo, a dziś fałszywemi przezeń poznane dyamenty.—

— „*Mój Półkowniku! czy pamiętasz o tém?*” (*)—odzywał się niekiedy stary *wiarus*, gdy się Półkownik doń kopiącego w ogrodzie zbliżył i zatrzymał. Wprzód słuchał on z niejakiem upodobaniem przypomnień żołnierza; lecz teraz na takie przypomnienia uśmiechał

(*) Piosnka żołnierza.

się smutnie, kiwnął głową i odszedł; a *wiarus*, z rękami na rydłu opartemi, długo za nim patrząc, kiwnął także głową i dalej kopał swą grzędę. Żołnierz od wodza swego szczęśliwszy!

Wkrótce więc wyczerpała się przeszłość; weszła terażniejszość na kolęd myśli i zadumań; lecz na krótko i bez powrotu: bo wszystko, jak widzieliśmy, obcém w niej, obojętném, a nawet nie-nawistném dlań było. Porzucając więc tę próżnię, myśl jego pomknęła nakoniec w krainę ideów, i z ruin Jagiellońskich wzniosła się w przestwor nieograniczony swego panowania.

O, gdyby natenczas trafiła na drogę, którą myśl świętego ich przed wiekami dziedzica trafiła do Boga!!! Po niej się unosząc za gwiazdą objawienia, zbierałaby kroplę po kropli owęj

czystej rosy niebieskiej, którą się karmi dusza chrześcijańska; i, jak pszczoła krople miodowe do ula, znosząc je do serca, uzbierałaby treść na nowy zarodek słowa życia; a słowo to stałoby się ciałem, to jest, dałoby nową siłę ciału jego, zapelniloby serce, i mieszkało w nim na wieki.....

Lecz na tę błogosławioną drogę nie wpadł Półkownik, nie pomyślał nawet o niej, lubo codzienne dzwony kościoła, o kilkaset kroków od domu jego tuż przy gościncu położonego, wzywać go na nią zdawały się..... a tak bez kierunku i przewodnictwa błąkał się, napotykał wszędzie tajemnice, jakby zawady, które usunąć, odgadnąć lub rozwiązać nie znajdował środka.

O, i któż je odgadnąć się nie kusil?... a któż je odgadnął?...

Wieczorem, gdy niebo miryadami

gwiazd osypane widokiem tym nad
wszelki wyraz wspanialszym zalewa du-
szę nieporównaném upojeniem, któż
śmiałym a uniesionym duchem, miną-
wszy ten firmament i światy, nie sta-
nął aż przed BOGIEM i nie zapytał go:
—*Ktożeś Ty??*—

Odpowiedź pewna i gotowa:

—*Jam twój i wszystkich tych cu-
dów Twórcą!*—

Odpowiedź ta wystarcza prawdzi-
wemu chrześcianinowi.

Wystarcza prawdziwemu mędrcomu.

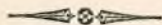
Nie wystarcza wątpiącemu mędrko-
wi: bo zarozumiały upor jego samćj od-
powiedzi zaprzeczy.

Nie wystarcza obumarłemu wyczer-
pańcowi: bo nie obudzi w sercu jego
miłości ku Twórcy, która się tak ści-
śle ze czcią i podziwieniem cudów Jego
jednoczy.

I Półkownik całe nocy częstokroć takim dumanióm poświęcał. Widziałbyś go natenczas opartego, jak posąg, o basztę, lub siedzącego nieruchomie u jej podnóża; a przenikając wewnątrz, widziałbyś żądę wiadomości zajmującą myśli jego i ścigającą niedocieczone tajemnice stworzenia, a po długim błakaniu się wracającą nazad bez rezultatów.

Ktom jest? po co tu na tej ziemi? Cóż to życie? co śmierć? co po niej? i tym podobne.

Natenczas do zadumanego podchodziła *wiara*, jakoby dawna niańka jego dzieciństwa, pragnąca ulżyć chorobie swojego piastuna; ale zimno i obojętnie zbywał ją Półkownik, jak zbyłby i samą niańkę, gdyby przyszła doń z radą zmówienia siedmiu paciery na odegnanie czarów.



IV.

NADCHODZIŁA uroczystość *Zielonych Świątek*, jedna z najpiękniej obchodzonych w Kościele.—

W wigilię wieczorem staruszek Pleban miejscowy przyszedł do Półkownika. Przyjmował on go zwykle uprzejmiej, niż kogokolwiek: bo poczciwość i prostota malująca się wyraziście na jego twarzy, a dowodzona codzienném jego życiem, nie mogły nie zjednać mu szacunku Półkownika. Obok uprzejmości jednak nie oszczędzał on mu szyderczych żartów, nie proboszczowi osobiście, lecz stanowi jego, do jakich na-

wykł w wojsku i w towarzystwach patrzących natenczas na duchowieństwo okiem jeżeli nie wzgardy, to przynajmniej obojętnęj poniewierki; i przypisując mu bez wyjątku prawie wady i zdróżności, jakimi je wiek XVIII spotwarzył.

Niepobudzany jednak nigdy sprzeczką lub gniewem poczciwego kapłana, (bo ten pospolicie skromném milczeniem zbywał jego pociski), Półkownik podawał mu rękę, przepraszał go nawet; a staruszek bez wymówek pokorą i łagodnością zadawał fałsz przekonaniu i słowóm Półkownika; miłém zaś towarzystwem rozchmurzał niekiedy ponure jego godziny.

Kilkakrotne takie próby oduczyły nakoniec Półkownika od owych opryskliwych docinków, tak, że Pleban nie lękał się kollatora; kollator nie nudził się

z Plebanem; a że jedynie z nim się tylko nie nudził, więc i sam częstym w plebanii bywał gościem, i Pleban najczęściej odprowadzał go do dworu.

Wpływ ten jednak Xiędza na niedowiarka nie zaszedł dalej, jak do zwyczajnego sąsiedzkiego pożycia. Czy to że przedsięwzięcie apostołstwa na takiego twardego człowieka osądził starzec trudniejszém nad własne siły, czy to mniemając sprawiedliwie, że umarły moralnie, jak umarły fizycznie, na głos tylko Boga zmartwychwstać może, Bogu też i polecił jego sumienie, a sobie tylko przykłady; czy to nakoniec, że oba nie pomyśleli nawet o szczerzém zgłębieniu się nawzajem.

—Przyszedłem—rzekł Pleban—prosić Pana, abyś dozwolił ubrać ołtarz przy baszcie zamkowej na jutrzejszą solenizacyę. Przyjdziemy tu z processyą i

weźwiemy intercessyi do Boga Świętego Kazimierza, którego te mury były niegdyś mieszkaniem.—

—Mogłeś to zrobić i bez mojego dozwolenia, Xieże Proboszczu! Owszem, znajduję twój projekt arcy-pięknym. Dobrze! będziemy się modlili do S-go Kazimierza. Świadczą dzieje, że on tu mieszkał, że umarł, i został Świętym dla tego, że się nie chciał ożenić. A więc i ja, Xieże Plebanie, dziedzic jego zamku, myślę go naśladować. Nie będę się żenił, mam jego imię dane mi podobno na jego pamiątkę, i zostanę Świętym.—

Pleban, podług zwyczaju, milczał.

—Mam jeszcze prosić Pana—odezwał się potém—o kilka kobierców dla okrycia muru za oltarzem.—

—Z ochotą każę ci odnieść wszystkie, jakie mam.—

—A więc czekam Pana da Bóg jutro na nabożeństwo.—

—A ja cię na obiad po nabożeństwie.—

Odszedł staruszek, ale wrócił się z pół dziedzina.

—No, co jeszcze? Xieże!—

—Jeszcze jedna propozycja, Panie Półkowniku! Dawny zwyczaj, a nawet *jus patrocini*, to jest, prawo i attrubucya kollatora jest, że on ma pierwszeństwo do prowadzenia celebrującego w processyach. Może więc jutro zechcesz Pan tej po pobożnych przodkach Pańskich odziedziczonej prerogatywy użyć?

—Nie dla mnie ja pragnę tego zaszczytu: bo zresztą piastując na ręku Boga żywego, jakież ziemskie honory obchodzić nas mogą? ale ludek Pański i okoliczny, widząc Pana swego odda-

jącego tę adoracyę Kościołowi, utwierdzi się w wierze i nabożeństwie, i Pana swego więcej czcić i kochać będzie.—

Półkownik uśmiechał się, odjął od ust fajkę i patrzył w oczu Xiędzu.

—Nieraz—ozwał się starzec żywiej jak zwykle—nieraz, Półkowniku, na rozkaz człowieka szedłeś bez wahania się na kule i miecze....—

—Tak—przerwał Półkownik—ale tym człowiekiem był bohater! słowem, był Napoleon!—

—Tak... a tu wzywającym cię do posługi jest... Bóg!—

Odszedł, nie czekając odpowiedzi, Pleban; a Półkownik zamyślony, paląc niedbale fajkę, wszedł do ruin.

Chodził długo samotny, podług zwyczaju, po swoim ogrodzie Półkownik; wyszedł nakoniec przez szczyrbę w mu-

rze i usiadł przy baszcie na starym odłamie rozwalin.

Słońce już zapadło, ale najpiękniejszy wieczór młodego lata rozkoszą upajał zmysły. Ze wzgórza, na którym siedział Pólkownik, widział on wzdłuż ulicę całej swęj wioski obrzeżającęj gościniec. Każda chatka, każde wrota gęsto osadzone brzoškami, każde okienko owieńczone także splotką z zielonych gałązek, i każda ściana nawet niemi natknięta, miłą, świąteczną, weselną, że tak powiem, suknią odziały wioskę; balsamiczna woń świeżych liści napelniała powietrze; a cała okolica w uroczystęj ciszy zdawała się oczekiwać jutrzejszego święta.

W życiu by najbardziej wyczerpanem, gdy serce zwiedle jest, lecz nie zarażone występkiem, zdarzy się zawsze chwila, w której się ożywi czulość, i

przeniknie po czarnych myślach, jak perelka po całunie. Chwile takie najczęściej nadarza widok pięknej natury. Ona zbytkiem swojego życia ocuca obumarłe życie, i jakby kroplami ożywczego napoju budzi czleka z letargu i łagodne ułatwia mu tchnienie.

Takięj właśnie chwili oddawna mu nieznanęj doznał Półkownik dumający pod basztą. Sam się dziwił upodobaniu, z jakiem przeglądał wieś i okolice do-
tąd mu obojętne; przychylności niejakięś, skłaniającęj ku nim serce jego, i wrażenióm przyjemnym, któremi się ono poilo. Myśli jego oderwały się raz pierwszy od ponurych zaciekań, i pierwszy raz mimowolnie dotknąwszy się natury, usnęły spokojnie na jęj wdziękach. Wkrótce potrzeba spoczynku dała się uczuć i ciału—Półkownik poszedł do domu.



V.

NAZAJUTRZ dzień piękny zajaśniał; wszystkie dzwony kościoła razem bijące oznajmiły święto. Raźniej niż kiedykolwiek powstał Pólkownik z pościeli, czuł się jakoś rzeświejszym po śnie spokojnym, bez przerw nagłych i marzeń natrętnych.

— Zapraszał mnie wczora pocziwy Plebanisko na nabożeństwo.... — pomyślał sobie — i jeszcze, abym go prowadził w processyi.... Ha! cóż mi się zresztą i stanie?... Mogę mu tę przyjemność

uczynić.... Nad swój zwyczaj jednak uniosł się wczora staruszek, BOGA mi nad Napoleonem nagle okazawszy.... Już też on i stanął przed BOGIEM....—

Po tych krótkich uwagach Półkownik ubrał się w swój świetny mundur, we wszystkie nagrody i znaki swojego męztwa, i poszedł do kościoła.

Przed kościołem uwijał się pomiędzy ludem jego *wiarus* w swoim polatanym, ale także na przepych oczyszczonym mundurze; i, ujrzawszy swego Półkownika także jak na paradę wystrojonego, szykował chłopków w szeregi, i sam stanął *front*. Uśmiechnął się Półkownik, oddał mu wzajemną wojskową salutacyę, i rozmawiał uprzejmie z włościanami, nim się nabożeństwo rozpoczęło.

Gdy się processya otwierała, Półkownik postąpił do ołtarza, i zstępują-

cego zeń celebrującego Plebana wziął pod rękę, spozierając na twarz czcigodnego kapłana, niosącego *Sanctissimum* i błogosławiącego niém ludowi.

Twarz ta takiem uniesieniem pałała i taką razem wielmożnością zdobiła się, tak on czuł głęboko swą świętość i godność, piastując na swém rękु Zbawiciela świata, że Półkownik mimowolnie uderzony tém obliczem uchylił własne ku ziemi i z dostojną skromnością prowadził go do ruin S. Kazimierza.

Odbyło się nabożeństwo, i przeszedł dzień jeden mniej nudny dla Półkownika. Z zachodem słońca zabrzmiała skrzypka przed karczmą. Wesołe odgłosy i okrzyki dochodziły Półkownika siedzącego na swoim zwykłym na ruinach stanowisku lub przechadzającego się po wałach.

Wśród tych hałasów rozróżniał

się donośnie głos jego starego *wiarusa*, podochoconego zapewne miodkiem. W tańcach on nawet, nie zapominając swego wojennego animuszu, komenderował po wojskowemu, gdzie weselość jedynie komendę mieć była powinna; z tą różnicą, że w takt skokóm i mazuróm śpiewał słowa komenderówki:

» Marsz! chłopcy! marsz!

» Plutonami marsz!

Tara ta ta ta ta — pal!...

Pod północ ochota wolnicę zaczęła i komenda *wiarusa* umilkła; coraz w jedną i drugą stronę po gościńcu skrzypiały kolasa; gwary coraz w szersze rozpostrzeniały się koła i milkły w oddaleniu... aż nakoniec światełka wszędzie pogasły i nastąpiła cisza zupełna i głęboka; a Półkownik znowu samotny zaczął dumać po swojemu.

VI.

ISTNIEJE ten świat niewidomy, świat duchów, świat nieokreślony, mglisty, świat czarownych złudzeń lub strasznych objawień, którego domyślność zdaje się być wrodzoną człowiekowi? do którego albo nienasycona żądza wiadomości, albo nieukojona rozpacz, albo pogarda rzeczywistego świata, wdarć się usiłują? którego idea nie łączy się bynajmniej ani przeczy religijnym ideóm, gdyż go, jak wszystko, pod władzę Boską poddaje? lecz ten świat pośredni-

czy jakiś między BOGIEM i ludźmi, którego niepojęte istoty wymykać niekiedy zdają się karty z xięgi przeznaczeń naszych i nam na nie ukradkiem spojrzeć pozwalają?.... z którego roje snów wieszczych w nocnych ciszach osiada na zawartych powiekach ludzkich i pociesza nieszczęśliwych lub udręcza zbrodniarzy? z którym dusza nasza w harmonii obcuje niewidomie?.... z którego astrolog ciągnął swe często sprawdzane horoskopy, wróżki niechybne kabaly? którego cudów pełne są dzieje?.... z którego miał posłańca Brutus przed bitwą pod Filippinami? z którego rodem miał być czerwony człowiek Napoleona?.... świat nakoniec, w który zupełna wiara życie w obląkanie wprowadzić może, w który zupełna niewiara pozbawia życie najpiękniejszego uroku?.....

W taki świat zapuścił myśli swoje

Półkownik, w którego głowie wrażenia dzisiejsze religijne, snując się i mieszając, wpadły na jakąś mistyczną ścieżkę, wijącą się zawsze rozmaitym kierunkiem po cienistych i błędnych manowcach obok wielkiego i prosto do prawdy prowadzącego wiary naszej szlaku.

W Niemczech zasłyszał on kiedyś o jakiejś sekcie i pojedynczych jej członkach, posiadających jakoby tajemnicę wywoływania duchów i zaklęcia ich do odpowiedzi.....—Czemużem—pomyślał sobie—nie inicjował się do tych tajemnic? czemużem się nie nauczył i nie nabył tej potęgi, zmuszającą czy zniewalającą duchy niewidome do objawienia się ludziom? Wywołałbym go w tych ruinach.... Miejsce i czas po temu.... Czyliżbym się go przelał?... (Uśmiechnął się na samą myśl bojaźni). Niechby mi odkrył tajnie, za którymi ścigam... niech-

by mi uchylił zasłonę, za którą wdarć się usiłuję... niechby mię ożywił i przywiązał do życia.... niechby przegnał tę nudę nieszczęsną, która mię ogarnęła... tę chorobę, która mię powolnie niszczy i truje.... tę niepewność każdego kroku, każdego dnia, każdej nocy; niechby rozdmuchnął ten popioł suchy, zimny i trupi, osypujący me serce i mózg mój niepojętny.....

—Wzywam cię, duchu!—zawołał na koniec w uniesieniu powstając Półkownik i podnosząc wzrok w niebiosy.—Na szczęście swoje zaklina cię śmiertelny!.. na nieszczęście choćby!.. Wzywam cię!.. Objaw się, jeżeli istniejesz! objaw mi przyszłość moję! zmień terazniejszość!.. zapal nanowo wygasły płomień życia w mém łonie! Niech żyję!... Ach! niech umieram wnet! bo żyć tak dłużej nie podobna!...—

Przez chwilę stał jeszcze Półkownik, jakby oczekując skutku swych zaklęć; w końcu opamiętał się.... usiadł, zakrył sobie oczy rękami i westchnął.

—Szaleństwo!—rzekł nakoniec—urojenie próżne! Tyle mogą moje wezwania, ile i czarnoxieżkie słowa szarlatanów, kłamiących swoją nad duchami potęgę....—

Znowu się zamyślił głęboko, i znowu obrzędy rannego nabożeństwa, i oblicze kapłana, i jaśniejące w jego ręku *Sanctissimum*, zasnęły mu się po wyobraźni.....—Tyle cudów opisują nam księgi Religii..... tyle objawień, które Bóg czynił Świętym.... We wszystko to świat wierzy.... I Święci tylekroć objawiali się ludziom i przyjmowali ich w opiekę....—

Nagle, jakby nową myślą dotknięty, upada na kolana.

—Boże!— zawołał— jeżeli Cię głos człowieka dochodzi!.....— I dalej w myślach czy modłach długo trwał zanurzony..... Powstał znowu nakoniec, i już miał niecierpliwe wyrzec bluźnierstwo.... gdy

Z drugiego końca walu i rozwalin postrzegł zbliżającą się ku sobie postać jakąś.

Obłoki gęsto przesuwające się po niebie ćmiły światłość nocną, tak, że nie mógł Półkownik rozpoznać dokładnie kształtów téj postaci, i niespokojność jakaś przemknęła mu mimowolnym dreszczem po ciele....

Lecz za zbliżeniem się osoby uznał on, że to być musi jakiś ciekawy podróżny, jakich już wielu oglądających te ruiny widywał.

—Dła czegoż w noccy? Ha—pomyślił

sobie—bo zapewne w nocy w dalszą musi puścić się drogę.—Chciał zatem, nie przeszkadzając ciekawemu, zawrócić się do domu, gdy ten, jakby zgadując myśl jego, podszedł śpiesznie i rzekł:

—Witam dziedzica tych pięknych ruin.—

—Witam Pana wzajemnie—odpowiedział Półkownik.—Aż kąd Pan wieśz, żem dziedzic tego miejsca?—

—Wszakże tak jest!—

—Tak. A Pan zapewne jesteś podróżnym pragnącym poznać te rozwaliny.—

—O, znam je oddawna, i wszystkie inne po Litwie rozrzucone.—

—Ja nie miałem zręczności widzieć żadnych, prócz tych moich własnych. Czy są inne równie obszerne i wspaniałe? i do którychby tak ważna pa-

miątka, jak tu, mieszkania Ś. Kazimierza, przywiązana była?—

—Obszérniejszych i wspanialszych jest kilka, z równie piękną pamiątką zadnych. W Trokach naprzykład są ruiny zamków stołecznych, więc ściśle z dawnemi dziejami kraju tego połączonych. W blizkim ztąd Krewie są większe i lepiej zachowane, lecz pamiątka ich jest niemilą, bo śmierci okrutnej walecznego bohatera Litwy Xięcia Kiejstuta. Podanie, a ja wiem zkadinał, że pewne, oznacza pod jedną basztą, trwającą dotąd, okno więzienia Kiejstutowego.—

—Prawdziwie chciałbym odwiedzić Krewo, a jeszcze z tak interessowaną wiadomością. Lecz zkądżebyś Pan mógł mieć tę pewność, gdzie tylko, zda mi się, domysły mieć można?—

—Skoro prawdziwie żądasz, bydź tam i wiedzieć wszystko możesz.—

—Zapewne że chciałbym, ale nie rozumiem.—

Nieznajomy stanął obok Półkownika, przed oczami jego przemknął ręka, i ślad jej błyskawicą się opisał w powietrzu... Półkownik nie wiedział, co się z nim stało, ale w mgnieniu oka był w *Krewie*.



Śmierć Kiejstuta.



VII.

PRZERAŻONY Półkownik stał oniemiały
wśród ruin Krewskiego zamku.

— Opamiętaj się — rzekł nieznajomy, kładąc mu rękę na ramieniu.

I w rzeczy samej to dotknięcie, jakby magicznym jakimś wpływem, wnet go uspokoiło, uporządkowało wyobrażenia, i myślóm jego wolny bieg dało.

Zwrócił on wzrok zdziwiony na tę

cudotwórczą postać. Nic w jęj odmien-
nego, jak gdy ją na własnych ruinach
postrzegł, nie widział. Oczy jęj tylko
pały światłem nadzwyczajném, od któ-
rego tło jasne i czyste obejmować zda-
wało się krąg, jaki około głów Świę-
tych na obrazach widzimy.

— Ktożeś ty?—zawołał Półkownik.—

Cóż się to ze mną dzieje?—

— Odłoż pytania. Patrz na to, coś
chciał widzieć. Oto Krew. A w tém,
co się z tobą dzieje, miej dowód mojej,
a raczej Bożkiej potęgi.—

Półkownik rzucił okiem na ruiny;
lecz w stanie takim rzeczy nie szło mu
o obejrzenie ich ciekawe, które w in-
nym razie zająłby go mogło.

Przy zachodniej stronie muru uj-
rzał on wejście do podziemnego sklepu,
żelaznemi drzwiami zamknięte i grubym
drągiem zawalone.

Przewodnik, zgadując myśl jego—
To—rzekł—więzienie Kiejstuta. Zbliź-
my się.—

Gdy z jednėj strony podchodzili do
lochu, z drugiėj przelazili przez mur
trzej ludzie, i po przystawionėj przez
czwartego, wewnątrz będącego a ułat-
wiającego wstęp tamtym, drabinie spu-
ścili się na dół.

—Oto zabójcy Xięcia wkradają się
do zamku.—

—Jak to? — zapytał Pólkownik —
czyliż cofnęliśmy się o kilka wieków?—

—Nie. Widzisz tylko karę złoczyn-
ców. Co noc o tejże samėj godzinie,
w którėj oni zbrodnię tu spełnili, duchy
ich przybywają do Krewa, przybierają
własne ludzkie postacie, niewidome ni-
komu: bo kara ich dla ich samych tylko.
Krewo przybiera dla nich postać dawną;
i powtarzają czyn, za który wieczne po-

chlonoło ich potępienie. Przypatrz się im....—

Tymczasem tamci cisnęli się koło muru, oglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Na każdy szmer, na każdy powiew wiatru, trzej zatrzymywali się trwożliwie, czaili się do muru; czwarty, przodkujący im, stawał tylko na miejscu.

—Zajdźmy im drogę śmiało. Jesteśmy dla nich niewidomi.—

Postępujący na czele był człek wysocki, długim czarnym płaszczem obwinięty, z pod którego, gdy wiatr rozwiewał szerokie fałdy, dawała się widzieć czarna zbroja, a na piersiach krzyż z błyszczącego metalu na pancerzu wykuty.

—To Krzyżak *Kniprode*, brat Wielkiego Mistrza—tłómaczył Półkownikowi przewodnik—wysłany tu umyślnie dla dokonania téj zbrodni i zamordo-

wania bohatera stojącego najdzielniej przeciw ich nieprawym na Litwę zamiaróm. Wybrano go, jako znanego z twardszego od żelaznej zbroi jego serca, jako odważnego przytém i zręcznego w prowadzeniu wszelkich knowań, a nienawidzącego Litwinów, którzy mu nieraz dali się we znaki. Posiada więc on wszystkie zdolności, któreby mu łatwém uczynić powinny wykonanie téj zbrodni; a jednakże patrz w jego serce—rzekł, kładąc znowu rękę na ramieniu Półkownika.

I widział jak na dłoni serce Krzyżaka Półkownik, i z myślami jego tak się zjednoczył, że najskrytsze czytał, rachował, przenikał....

Serce Krzyżaka biło gwałtownie i drżało...

—Ręczę cię, że ani razu mu tak nie drgnęło, gdy na tysiąc śmierci biegł

zapamiętały w bitwach; a tu tylko bezbronnego starca ma zamordować. Ale sumienie! sumienie! wiara! wiara! którą im bardziej on zna i czuje, tém go więcej trwoży....

—*Piąte nie zabijaj!*—pomyślił Krzyżak i stanął.—*To poganin!... nieprzyjaciel wiary naszej i naszego zakonu!*—*Piąte nie zabijaj!*—powtarzało sumienie.

—Za Krzyżakiem—mówił dalej przewodnik—postępuje *Prora*, komendant tego zamku, któremu Krzyżak przywiózł złota i fałszywy rozkaz Jagielly pozbycia się *Kiejstuta*, a potem i *Witolda*, lecz go strzegła i uwolniła nakoniec cnotliwa żona jego. Ten drugi, to brat *Prory*, *Bilgen*, duszą i ciałem oddany Krzyżakóm i Maryi żonie powieszonego przez *Kiejstuta Wojdyłły*. Mściwa ta kobieta pośrednictwem właśnie *Bilgena* podała rękę Krzyżakóm pragnącym śmierci

Kiejstuta, i wspólnie ułożyli morderstwo. Utrzymywała ona w nienawiści Jagiellę ku stryjowi, i mimo wiedzy jego dała fałszywy rozkaz *Prorze* wydania nieszczęśliwego starca w ręce *Kniprody*.

—Dwaj jeszcze idący z niemi, ten *Kuczuk*, a ten *Zybentěj*. Piérwszy, nizki posługacz dworu Jagielly, przybył z *Bilgenem*, a drugi *Krewianin*, zwyczajny oprawca *Prory*, pełni ślepo jego rozkazy.—

Krzyżak stał jeszcze oparty na długim mieczu nade drzwiami lochu.

—*Ja brat Wielkiego Mistrza!... ja rycerzpassowany!... i ja zabójca!... Pięte nie zabijaj!*—odzywała się bez ustanku wiara i sumienie. Upuścił głowę, i raptem podniósł ją: bo krzyż własny na piersiach raził mu oczy!...

Prora podawał mu klucz od lochu.

—Sam odemknij—rzekł *Kniprode*—
i sam spraw, co ci rozkazano...—

Kazano mi oddać tobie w ręce
Kiejstuta; ale sama sprawa.... do cie-
bie należy.—

—Sprawa do nas wszystkich nale-
ży—odezwał się *Bilgen*.—Ty, *Kniprode*,
masz rozkaz od twojego brata i od
starszych twego zakonu; ty masz rozkaz
od *Jagielły*, i złoto krzyżackie; ja mam
moje rozkazy, a oni mają rozkaz od nas.
Odmykaj więc....—

—Rozkaz od *Jagielły*... rozkaz od
Jagielły...—mruczał *Prora*—któż to
wie?... Ale tam jest z *Kiejstutem* sługa
jego *Ostafi Omulicz*—dodał trwożliwie.
Ja go znam. To silny i odważny chłop.
On będzie pewnie bronił swojego pana.—

—A czém? — odpowiedział znowu
Bilgen. — Broni żadnej oba nie mają.
Ale i jego żywić nie można, bo nas wyda;

a trzeba, aby myślano, że Xiążę sam się zadusił. Rozumiecie?... Wara koło niego z toporem lub mieczem.—

—A jakże?—zapytał *Zybentěj*.

Bilgen chwycił się rękami za szyję, i tak straszliwie się przekrzywił, naśladując skon duszonego, że Krzyżak się wzdrygnął, a oprawca nawet odskoczył.—Odmykaj—rzekł potem do *Pro-ry*; który gdy jeszcze się ociągał, wyrwał mu klucz i założył w zamek.... lecz mu Krzyżak mimowolnie zatrzymał rękę: bo niewidomy przewodnik Półkownika szepnął mu nad uchem wyrazy jego sumienia: *Piąte nie zabijaj!*

—Kto tu jest?—zapytał on z przerażeniem—kto tu szepce mi nad uchem?...—

—E, nikt—rzekł *Bilgen*.—Tchórz, widzę, jesteś, choć rycerz.... drżysz, jak osina.—

—Milcz!—rzekł z gniewem Krzy-

zak—młecz! podly! Nie tobie sądzić mnie!!! Daj Kiejstutowi miecz w rękę i zbroję na piersi, a obaczysz, czy rycerz *Kniprode* drzeć przed nim będzie. Ale.....—

—Tak, rozumiem, rozumiem twoje to *ale...* ale zakon twój tego żąda i wymaga... bo kiedy Kiejstut miecz w rękę dostanie, to i dziesięciu *Kniprodów* nie zasłoni was od jego ciosów. Kto wie, czy się osiedzicie wtenczas i w Maryenburgu?....—

—Więc odmykaj!...—zawołał z okropnym przekleństwem Krzyżak—odmykaj! — A niewidomy przewodnik jeszcze raz wymówił nad nim wyraz mający go ścigać przez całą wieczność: *Piąte nie zabijaj!*

Otworzono drzwi ciężkie, i weszli zabójcy do więzienia, a z niemi niewidomi świadkowie zbrodni.

Kiejstut zasypiał na kamiennéj ławie, owinięty ferezyą na srebrny sznur pod szyją zawiązaną. *Ostafi Omulicz* czuwał, siedząc u drzwi na osobnym kamieniu; a ciemna lampa żelazna, na sklepieniu zawieszona, słabym i wątpliwym płomieniem czarne i wilgotne oświecała mury.

—Po co tu?—zawołał powstając *Omulicz*.—*Xiąże* śpi.—

Wnet i *Xiąże* się obudził, powstał, i też same powtórzył pytanie; lecz postrzegłszy *Krzyżaka* — Ha! *Krzyżak*! więc po życie moje przychodzicie!...—zawołał.

Tymczasem żaden postąpić ku niemu nie śmiał, a *Omulicz* zasłonił go sobą.

—Precz ztąd!—rzekł ponuro *Krzyżak*, odtrącając *Omulicza*.—Mamy pomówić z *Xięciem*.—

Ale ten wzajemnie tak silnie odepchnął Krzyżaka, że aż się on posłonił. Zawzięty mnich ugodził *Omulicza* czekanem w głowę... skruszył czerep... a krew z mózgiem prysnęła gęsto na twarz, oczy i krzyż zabójcy.... Upadł wierny Ostafi u nóg Kiejstuta.

—Niewinnego zabiłeś! — odczwał się Xiążę, nie zmieniając spokojnego oblicza.—Czyż twój Bóg, twoja wiara, pozwala ci zbrodni?—

Słowa te i krew ciekąca po twarzy i po krzyżu zapamiętała wściekłością zażęgły go. Krwią kipiącą własną oczy mu zabiegły, zgrzytnął zębami, i rzucił się na starca, którego ciężarem własnym i zbroi swój przywalił....

—Synu mój Witoldzie!...—zawołał Kiejstut; i to były ostatnie słowa jego....

Półkownik rzucił się do Krzyżaka.

—Stój!—rzekł, wstrzymując go, to-

warzysz—zapominasz się.... Potępieńcy passują się z cieniem.... Ich to męczarnia, nie Kiejstuta.—

Tymczasem *Bilgen* oderwał od fe-rezyi Xięcia sznur srebrny i na szyję mu zarzucił, oprawcy dopomogli, i zawrzało chrapanie śmiertelne. Krzyżak przerażony puścił Xięcia i odskoczył, i osłupiały wzrok wytrzeszczył na miotającego się Xięcia i na duszących go oprawców....

Lampa zagasła, chrapanie z milkło, i zabójcy hurmem rzucili się do drzwi, jakby każdy z nich w lochu zostać lękał się.

Krzyżak ocierał konwulsyjnie drgającą ręką krew z krzyża, i starć jej nie mógł. Oblakany i drżący stał, przysłuchując się....—Słyszysz?—rzekł cicho do *Bilgena*—słyszysz? jeszcze chrapie!....—

—To szatan chrapie ci nad uchem—
odpowiedział *Bilgen*—szatan, który i
mnie opętał; i ot, jak kruk ścierwo, roz-
jada już moje serce i wnętrzności....
Do piekła! do piekła! rycerzu *Kniprode*!
do piekła rycerz chrześcijański razem
z poganami!... Cha! cha! cha!cha!...—

—*Piąte nie zabijaj!*—wymówił zno-
wu nieznajomy nad uchem Krzyżaka....

—Kto tu?—krzyknął *Kniprode*—
kto tu mi dziesięcioro powtarza....—

Nieznajomy przemknął ręką przed
oczami Półkownika, ślad jej znowu się
błyskawicą opisał w powietrzu, i oba
w mgnieniu oka byli już na wale dzie-
dzicznych jego ruin pod basztą.



VIII.

—**K**TOŻEŚ ty?—zapytał Półkownik.—
Jestże to sen, com widział, i co się ze
mną dzieje? Jakież to cuda?—

—Przypomnij sobie—rzekł stojący
przed nim cudotwórca—ostatnie twoje
myśli przed mém ukazaniem się na ru-
inach.—

—W myślach tych— odpowiedział
Półkownik—błagałem Boga....—

—Aby ci zesłał ducha, któryby cię
oświecił, twe wątpliwości rozproszył,
wskazał ci drogę życia, słowem, wskrze-
sił cię i odrodził nanowo.... Tyś syn mar-

notrawny, tyś zmarnował bogactwa obficie tobie i każdemu od Boga w serce własne na zapas szczęścia całego ziemskiego żywota, a na okupienie wiecznego, opłacając zań Bogu z tegoż samego skarbu cnotą i codziennym dobrym uczynkiem, jak ewangelicznym złotym talentem.

— Bóg głębokiego twego doń wstęchnienia wysłuchał.... Otom jest twój duch opiekuńczy, twój anioł-stróż, na twoje wezwanie do ciebie niewidomie zesłany. Ja czuwałem nad twą kolebką, jam cię w niebezpieczeństwach zasłaniał, jam cię konającego pod dach ojczysty zaprowadził, i ja na koniec stoję przed tobą, przybrawszy z woli Boga postać ludzką, a nawet pojęcia i wyobrażenia twoje i twoich przyswoilem.... Pytaj więc. Gotowem ci odpowiadać na to wszystko, cokolwiek ludzióm wiedzieć i badać godzi się. Rozmyślaj, co naj-

ważniejszego wiedzieć ci potrzeba. Od tej chwili zależy twoja przyszłość, twoja spokojność, słowem, twoje szczęście lub zguba.

—Po cóż jeszcze ta niepewność?—

Duch położył rękę na piersi Półkownika, a wnet serce mu wolniej bić zaczęło, trwoga odbiegła, a myśli zwyczajny, ziemski, że tak powiem, wzięły obrót. Stał jednak zadumany i milczący, bo sam siebie pojąć nie mógł: czego żądać? czego się pytać?....

—Wróciłem cię—rzekł duch—do stanu twego dawnego. Objawienie się moje będzie ci tylko pamiątką miłosierdzia Bożkiego nad człowiekiem, którego błąd ogarnął, a jedna chwila ucieczki do Boga zbawiła, tak, jak i każdego zbawić może: bo każdy jest w stanie wywołać w niej ducha Bożego oświeciciela, który lubo się mu widomie nie okaże, ale

przemówi do rozumu głosem sumienia, do serca słowami tkliwego i dobrotliwego ojca, przebaczonego dziecku swemu niewdzięczność i swawolę.

—Widzę myśl twoją. Pracuje ona nad wyborem pytań, jakie masz mi uczynić. Ciekawość, niepewność, dawna żądza przeniknięcia tajemnic życia, ustalenia własnego na pewnym celu i drodze, miotają tobą. Wszelkie dociekania i wiadomości ludzkie, nierozwiązane ostatnim rezultatem, cisną się do twojej głowy i pragną korzystać ze sposobności... Niebaczne! odkryłyby może, że we wszystkich ich poszukiwaniach i odkryciach niema i nigdy nie było prawdy... Wszystko, co was ludzi otacza, na co okiem rzucisz, jest tajemnicą. Mamże ci wszystkie objawiać i rozwiązywać?... Tobie idzie o szczęście własne; do tego więc stosuj i wybieraj pytania.—

Półkownik więc nieśmiało, zcicha i z zająkaniem, jakby się jeszcze lękał ducha, czy jego odpowiedzi, zapytał:

— Jak długo żyć ja będę jeszcze?— i patrzył niespokojnie w oblicze objawiciela.

Oblicze to łagodnym się uśmiechem okrasilo.

— Zawsze w myślach ludzkich— mówił duch— z tém pytaniem spotkać się można. Lecz pomyśl nad twém żądaniem. Wiem, że się nie lękasz śmierci. Nieraz gardziłeś nią w bitwach. Lecz to wcale inna. Tam chwała, tam zapal oślepia człowieka; tam zawsze jest nadzieja, że cię kula minie; a nadziei téj, na własném łożu nawet, aż z życiem on się zwykle pozbywa. Ale daleko trudniéj wam widzieć śmierć zbliżającą się powoli a niecofnionym krokiem, i długo twarz w twarz jej się przypatrywać, licząc

chwile, nim cię uderzy..... Więc gdybym ci powiedział, że rok tylko żyć będziesz?.....—

—Jak to? tak krótko!—zawołał Półkownik.

—A widzisz, jakeś się przeraził. Nie lękaj się, kres twój nie tak blizki. Dość ci będzie życia na poprawienie twych błędów. Lecz rok ten udręczający, którybyś wiedział ostatnim, powtórzyłby ci się i na końcu najdłuższego twego życia. A tak, sądząc nawet rozumem ludzkim o dziełach BOGA, widzisz w tém ukryciu człowiekowi chwili jego skonu, mądrość i dobroć Bożką dla niego.—

—Na cóż-bo i ta...—pomruknął Półkownik, ni to pytanie ni skargę; lecz jej nie skończył, i spuścił oczy, bo się wstydział pytania....

—Na cóż-bo i ta śmierć?—chciałeś

powiedzieć: i niedokończyłeś, boś uznał nedorzecznosc skargi. My istniejem, wy istniejecie, światy i słońca istnieją; ale Ten, którego istność jest bez początku i końca, a który dał w czasie nam i wam początek, zachował sobie wiadomość wszechmocnego *stań się!* przez które wszystko się stało i wszystko się kończy....—

Półkownik milczał.

—Darmo ukrywasz—mówił dach—myśli twoje. Widzę je, jakęś ty widział myśli Krzyżaka. Powiedziałbyś teraz:—A więc i wy, równie jak i my, nie nie wiecie.—Lecz ja nie jestem tu, abym ci objawiał tajemnice naszej istności; raczej, abym cię o twój własnej nauczył, która że się ze śmiercią niekończy, widzenie Krewskie przekonaćby cię było powinno. Gdybyś tego przekonania potrzebował nawet.... jestem tu, abym cię

wprowadził na drogę prawdy, pokoju i szczęścia, którego szukając, westchnąłeś do nieba.—

—Ach! gdzież jest to szczęście?—
odezwał się Pólkownik.

—Słuchaj. Potrzebujesz źródła w twoim ogrodzie, bo nie masz czém skrapiać twych drzew i twoich kwiatów. Już od lat kilku namyślasz się, jakby zwrócić i sprowadzić doń odległy ztąd strumień.... Otoż bez tak wielkich kosztów i pracy odwróć ten głąz zarosły chwastem, który ci okazuję. Znajdziesz pod nim studnię z najczystszą wodą, dawno zapomnianą, z której czerpali przed wiekami mieszkańcy tego zamku, którą pił i ochładzał się niegdyś święty jego dziedzic. Będziesz więc miał w łonie własnej twojej ziemi to, czego szukasz na odległych polach. Zrób i z sobą samym to, co masz zrobić ze swo-

im ogrodem. Nie szukaj w urojeniach, w zaciekaniach odległych źródła szczęścia twojego, zejdź do ruin własnego serca, i odrzuć tam leżący ciężki głaz bezbożności i niedowiarstwa, zarosły chwastem żądz niespokojnych, myśli wątpliwych i gnuśnego lenistwa; a wytryśnie ci wnet źródło święte wiary, które orzeźwi duszę twoją, ochłodzi serce, i życiu twemu nowe, że tak powiem, da życie.—

—To, co mi mówisz—rzekł ośmielony Półkownik—jest nader proste i rozumowi pojętne; dla czegoż mi więc rozum mój nie natchnął tych myśli?—

—Rozum! oh! rozum ten wasz, z którego tak dumni i zarozumiali jesteście, czémże jest?... Posłuchaj jeszcze jednego zupełnie ziemskiego porównania.

—Zdarzało się ci widzieć kuglarza,

który sztukami zręcznemi ludzi oczy współstwa. Daje ci on dukata w rękę, zwierają ją i każe mocno trzymać.—

—Czy masz dukata?—pyta cię.—

—O, mam!—odpowiada trzymający—mam!—

—Trzymajże mocno!—

—Trzymam!—

—Pokaż.—Otwiera się dłoń—pusta, nie ma dukata.

—Masz ty rozum?—zapytaj każdego człowieka.

—O, mam! mam!—czuję go w mojej głowie.—

—Okaż-że go jak na dłoni, okaż go w czynie.—

—Rozwiera się głowa.... i nie ma go; albo przynajmniej tak mało, że do codziennego użycia nie wystarcza. A cóż dopiero, gdy nim jednym oświecać drogę żywota, miarkować czyny, my-

śli, zamiary i postęпки swoje usiłujecie!...—

—Na cóż więc on się przydał człowiekowi?—

—Na wszystko i we wszystkim, gdy jest promieniem wielkiego ogniska mądrości Bożkiej, objawionej nam wiara, która wspierać go, kierować nim, i karać go powinna. Bez niej znika rozum, jakby znikł promień słońca, gdybyś samo słońce zagasił.

—Bóg nienapróżno wlał w duszę człowieka tę władzę rozmysłu, determinacyi i działania. Radzca to jest pożyteczny, gdy cnotliwy i bogobojny... zdrajca to jest niebezpieczny, gdy odstępcą od praw Bożkich ludziom własne narzucić pragnie, lub niepewne kroki człowieka za swém jedynie światłem uwodzić.

—Przodkowie wasi odlegli, nie do-

zwalając rozumowi przemykać granic religii, mieli prostotę i pobożność godłem swojego żywota. Pierwsza zapewniała im pokój codzienny, swobodę umysłu, chroniąc od żądz niesfornych i pragnień coraz nowych; druga w przygodach życia dawała im port ochronny i słodką pociechę napawała dusze.—

—Byliż oni szczęśliwi?—

—Byli szczęśliwi szczęściem mądrych i sprawiedliwych; szczęśliwi w duchu szczęściem niezależném od wypadków świata, któremi prawica Boga podług swych niezbadanych wyroków rozrządza, a którego woli oni się z pokorą oddawali. Jedno szczęśliwe doń westchnienie zjednało ci wspomnienie i ratunek; ale głęboka tylko, głęboka i stała, szczera i gorąca wiara zjednać ci może świętą opiekę Jego, i wyblagać dla serca twego kroplę nowego życia,

pięknego i świeżego, jak poranek od-
radzającój się na wiosnę natury, czy-
stego i spokojnego, jak te nad nami
niebiosy.

— Oto droga szczęścia napróżno do-
tąd przez ciebie szukana. Wejdź na nią
od tej chwili duchem i modlitwą.....
z którą ja moje połączę.....—

Półkownik upadł na kolana.... i
długo z czołem ku ziemi kornie schylo-
ném, lub niekiedy ku niebu wznoszo-
ném, modlił się.—

—Wstań!—rzekł po niej jakim czasie
duch.—Przywróciłem był umysł twój
do stanu zwyczajnego. Teraz obacz się
i poznaj, jakim cię modlitwa uczyniła.—

Powstał Półkownik. Oczy miał
łzą zroszone; ale jakąż nieporównaną
rozkosz, jakąż miłą rzeźwość, jakąż
pogodę, tkliwość i lekkość uczuł on
w sobie!!! Zdawało mu się, że tysiąc ra-

zem źródła ulgi i pociechy wytrysnęło mu w sercu.—

—Ach! jakżem szczęśliwy!—zawołał on, składając ręce na piersiach—jakżem szczęśliwy!... Wierzę! głęboko wierzę! z całej duszy wierzę!!! Dla czegoż cały naród ludzki podobną nie napawa się słodyczą?!—

—Oto pierwszy błogosławiony skutek téj wiary twojej: miłość powszechna dla ludzi twych braci. Serce chrześcijańskie, duchem Bożym napelnione, pała tą czystą miłością, która jest najmiłszą ofiarą Bogu, najpięrszém Jego przykazaniem i najwyższym szczeblem mądrości i doskonałości ludzkiej.—

—Ach! czyliż ten rodzaj ludzki powstanie kiedy ze swój nędzy? czyliż będzie szczęśliwym? Okaż mi jego przyszłość!

Lecz w tejże chwili znowu się po-

strzegłszy Półkownik, że żądanie jego w upojeniu uczucia wyrzeczone mogło być grzeszném wtajemniczaniem się w wyroki Opatrzności—Nie! nie!—dodał z pośpiechem—niech się we wszystkim dzieje wola BOGA!—

—Nie lękaj się—odpowiedział duch—w żądaniu twém nie z pychy, ani z próżnej ciekawości, ale z serca uniesionego wynikłém, nie ma obrazy BOGA.

—Chcesz wiedzieć przyszłość ludzkości.... Wieluż to mędrców waszych fałszywych i zarozumiałych pracują nad jej odgadnięciem, a nawet nad jej upewnieniem, podług swych teoryj i wyobrażeń!... Ale tylko pracujący szczerze nad wykorzenieniem wad i zdrożności ludzkich, nad udoskonaleniem przymiotów duszy jego, słowem, nad ulepszeniem moralném człowieka, przykładają się skutecznie do szczęśliwszój przyszłości.—

— Inni wszyscy, którzy chcą albo
 chcieć będą (bo takich jest i będzie w każ-
 dym wieku) wmówić ludziom posłannic-
 two swoje na odnowienie objawionėj
 wiary; wszyscy którzy tę wiarę i jej tajem-
 nice tłómaczyć będą pojęciem ludzkim;
 wszyscy, którzy się męczą nad odgadnie-
 niem mechanizmu duszy i praw jej zjed-
 noczenia się ze zmysłami; wszyscy na-
 koniec, których Bóg stworzył, a w Boga
 nie wierzą; słowem, wszyscy mniemani
 mędrcy, mieniaący się natchnionemi pro-
 rocy, zarozumiali mistrze i nauczyciele,
 których po ich uczynkach, mowach i
 pysze łatwo między tłumem, często-
 kroć przez ich uwiedzionym, poznasz;
 wszyscy, mówię, takowi obłąkiwają lu-
 dzi, i sprowadzają z drogi mającej ich
 doprowadzić do prawdziwego świa-
 tła, azatém i do szczęścia takiego, ja-
 kiego ty w téj chwili kosztować zaczy-

nasz, i jakiego pojedynczy człowiek łatwiej dosięga. Bo.... powiem ci przypowieść.

— Pewnego czasu wielka karawana pielgrzymów puściła się przez pustynie do miasta świętego dla oczyszczenia się z grzechów i zamieszkania tam w pokoju i błogosławieństwie. Karawana zbłądziła na nieprzejrzanym i wrzącym pod jej nogami piaskach. Natenczas znaleźli się między tłuszcą mędrcy wrzekomo, z których każdy według swej nauki przewoźniczyć jej pragnął. Jeden radził trzymać się kierunku wiatrów; inny zalecał kompas swojego wynalazku; inny chciał się zdatować na zmysł wielbłądów, czujących jakoby zdaleka źródła i oazy; lecz jeden z pobożniejszych pielgrzymów upadł sam na kolana, i radzi wszystkim modlitwę i ucieczkę do miłosierdzia Bożkiego.

go, jako jedyne go śródka ratunku.... Ozieble przyjęli radę i przykład piegrzyma towarzysze; a lubo każdy jak z nalogu powtarzał, że trzeba wezwać opieki Nieba, wszyscy jednak widoczniejszych i pewniejszych jakby chwytając się śródeków i nadziei, poszli za głosem zwodzących siebie i drugich, przewodników.

—Pielgrzym został na kolanach i modlił się gorliwie Bogu aż do wieczora; a gdy weszły gwiazdy, ujrzał jedną świetniejszą nad inne, niewidzianą przezeń dotąd na niebie, za którą głos wewnętrzny postępować mu radził.

—Uznawszy więc w niej znak widomy miłosierdzia Bożego, którego wzywał, powstał i szedł za gwiazdą poprzedzającą go zawsze. Wkrótce dochodził z kolci od źródeł do źródeł, z których pokrzepiał napojem utrudzone ciało; do drzew cienistych, pod któ-

remi odpoczynkiem i pobożnym rozmyślaniem pokrzepiał ducha; i tak po niedługiej i bezpiecznej podróży przebył pustynię, doszedł do celu, i cieszył się pokojem i błogosławieństwem w świętym owym mieście; a karawana, brodząc w różne strony po nieprzejrzanym morzu piasków, nie doszła nigdzie ich granicy i zginęła na pustyni.—

—O toż od towarzystwa ludzkiego, obłąkiwanego przez fałszywych filozofów i własne namiętności, w dążeniu do przyszłej szczęśliwości powszechniej, odrywają się ludzie cnotliwi i gorącego ducha, wzywają od Boga prawdziwego światła, i za tem światłem idąc, wyprzedzają rod ludzki do szczęścia, i którego w pełni serca zażywając, czekają napróżno całych pokoleń błędzących po nieograniczonej pustyni wyobrażeń ludzkich.

—Ty więc chcesz widzieć tę drogę błędu i próby, którą przebiegać mają terażniejsze i przyszłe pokolenia.....—

—Patrz!—

I znowu za ręką ducha błyskawica olśniła Półkownika; tworzyć się po-
tém przed nim zaczęły obrazy, w któ-
re się on ciekawym i wyteżonym wpa-
trywał wzrokiem....

Lecz po niejakiem czasie, nagle dłonią zakrywając oczy — Dość! — zawołał —
dość! O! co za długie pasmo cierpień,
błędów i nieszczęść!!! Dość! Nie chcę na
nie patrzeć, gdy im zaradzić nie potrafię...

—Dozwól, niech przepowiem ludom
ich przyszłość.—

—Lud ci nie uwierzy.—

—Czyliż nigdy i najdalsze pokole-
nia szczęśliwymi nie będą?—

—Nie grzesz wątpliwością w nie-
ograniczoném miłosierdziu, dobroci i

opiece Bożkiej nad narodem ludzkim. Skrócić lub przedłużyć czas próby jest w mocy samychże ludzi... Co z jednym człowiekiem, to się z całym towarzystwem ludzkim stać może.... i stać się na koniec musi.... Ale do takowego stanu rod ludzki przygotować się ma zmianą wszelkich swych błędnych idei, odrzeczeniem się mnóstwa wad, fałszów i nałogów, nieuległych prawóm Bożkim, a które są dziś dlań drugą naturą.... jak chory najgłodniejszą dyetą przygotowuje się do odmiany swej krwi i zepsutych soków żywotnych..... a natenczas pojmie i używać będzie w pełni i zamięłowaniu szczęścia i stanu, którego by teraz nie pojmując, znieść nie mógł....

—Technieniem Bożym w łonie ludów i narodów poczęty, jak płód w żywocie matki, żyje już, porusza i daje się

czuć mający się kiedyś urodzić nowy, zwiastujący szczęście i pokój światu, *duch czasu*. Mędrcy chrześcijańscy przeczuwają go..... karmią go, karmiąc matkę prawdą i nauką. Godłem jego będzie *miłość powszechna chrześcijańska w duchu! prawda i prostota w czynie!!!*

—Egoizm w najpowszechniejszém znaczeniu zatruć go w samym zarodzie i zniszczyć usiłuje..... Waży się więc szala przeznaczeń ludzkich... ale nad gwichtem.... Opatrzności oko!

Z upokorzoném czołém słuchał tych wyrazów Pólkownik. Głos ustał, on podniósł oczy.... ducha nie było.

Zorza już rumienić zaczynała niebiosą, i szczyt baszty po brzegach szczyrb i krawędzi rozjaśniał się i zło-

cił... a nad nim z podziwieniem postrzegł Półkownik lekką postać młodzieńca, z białą lilią w podniesioném ręku, nieporównaném światłem jaśniejącą....

Po chwili znikła ona w promieniach wschodzącego słońca.

Półkownik upadł na twarz.... modlił się.... a wtém dzwon kościelny ozwał się na jutrznię.... wstał więc i poszedł zakończyć modlitwę przed ołtarzem.

K O N I E C .



Spis Rozdziałów.

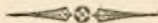


Jubileusz.

ROZDZIAŁ		<i>Stronica:</i>
	I.	9
—	II.	19
—	III.	28
—	IV.	60
—	V.	98
—	VI.	117

Duch Oplekuńczy.

—	I.	131
—	II.	152
—	III.	159
—	IV.	165
—	V.	173
—	VI.	177
—	VII. Śmierć Kiejstuta	186
—	VIII.	200



NAJNOWSZE DZIEŁA,

wydawane nakładem i drukiem Księgarni
pod firmą

Józefa Zawadzkiego

w Wilnie.



ANAFIELAS. Pieśni z podań Litwy, przez *J. I. Kraszewskiego*. Pieśń pierwsza: **WITOLORAUDA**. Pieśń druga: **MINDOWE** Król Litewski. Pieśń trzecia: **WITOLDOWE BOJE**. Wydanie przepyszne na najświetniejszym welinie, drukiem nowym paryżkim. 3 Tomy. 8vo maj.

OBRAZY LITEWSKIE. Sceny z życia potocznego przez *Ignacego Chodźkę*. Serya pierwsza zawiera następne powieści: *Domek mojego Dziadka—Boruny—Śmierć mojego Dziadka—Ostatnia Sessya Exdywizyi—Samowar—Powrót Dziedzica*. Serya druga: *Brzegi Wilii—Ranek przed ślubem*. Serya trzecia: *Pamiętniki Kwestarza*.

ZRZÓDŁA DO DZIEJÓW POLSKICH, wydawane przez *Mikołaja Malinowskiego, Michała Grabowskiego i Alexandra Przezdzieckiego*. Tom 1-szy i 2-gi z przenumeracją na 3-ci.

OBRAZ BIBLIOGRAFICZNO-HISTORYCZNY LITERATURY I NAUK W POLSCE, od wprowadzenia do niej druku po rok 1830 włącznie, z pism *Janockiego, Bentkowskiego, Ludwika Sobolewskiego, Ossolińskiego, Ju-*

szyskiego, Jana Wincentego i Jerzego Samuela Bandtków, wystawiony przez A. Jochera. Tom Iszy zawiera: Oddział Iszy Literaturę i Filologią Starożytną, i Oddział IIgi Nauki razem wzięte, Zbiory, Polygrafie. Tom IIgi, składający się z 6ciu zeszytów, również ukończony, zawiera Oddział nauk Teologicznych, ozdobiony fac similami pierwszych Biblij Słowiańskich i ryciną przerysowaną z dzieła Marcina Kromera, w 1551 w Krakowie wydane. Tom IIIci pod prassą.

SŁOWNIK ŁACIŃSKO-POLSKI, na wzór najcelniejszych Europejskich Słowników, a mianowicie nowego wydania sławnego *Forcellini, Freundta, Schellera, Passowa* i t. d., przez Xiędza *Floryana Bobrowskiego* ułożony, z dodaniem wyrazów do nauk Medycznych służących przez Profesora *F. Rymkiewicza*.—Wydanie drugie, zupełnie przerobione i znacznie powiększone, we dwóch Tomach, in 8vo, 126 arkuszy scisłego i pięknego druku, w wielkim formacie zawiera.

WILNO OD POCZĄTKÓW JEGO DO ROKU 1750. Historia tego miasta, zawierająca szereg wypadków, jakich ten starożytny gród Litewski w ciągu kilku wieków doznał, kolei, przez jakie przeszedł, i wszystkich najdrobniejszych szczegółów pod jakimkolwiek względem go dotykających.—Całe dzieło zawiera się we 4ch Tomach, in 8vo, około 110 arkuszy druku pięknego i wyraźnego obejmujących, na papierze welinowym, w ozdobnej okładce, z dawnym herbem miasta. Dodane do nich są portrety Królów Polskich, Wielkich Xiążąt Litewskich, widoki świątyń, bram miejskich, grobowców, krajobrazów, w liczbie 20, i 2 plany, jeden z r. 1560, drugi w ogromnym arkuszowym formacie najdokładniej przez Inżynierów zrobiony z r. 1840.

STUDYA LITERACKIE, I Tom, in 8vo, na pięknym welinowym papierze, 18 arkuszy druku, zawiera następujące Rozdziały: I. Życie Umysłowe. II. Nowa Literatura. III. Formy—Język. IV. Pierwiaszek narodowy w Literaturze dawniej. V. Archaizmy. VI. Pisarze i Czytelnicy. VII.

O sławie Pisarskiej. VIII. Podanie Gminu. IX. Historia. X. Poezya. XI. Przeszłość i przyszłość Romansu. XII. Dramat. XIII. Literatura peryodyczna. XIV. Krytyka. XV. Życie domowe kilku pisarzy Polskich.—

SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.—Pod tym tytułem zamierzył wydawać *J. I. Kraszewski* najcelniejsze romantyczne utwory swoje, już to historycznej, już obyczajowej treści. Następne wyszły z pod prasy:

Powieść 1sza: *Cale Życie Biedna*. Wydanie drugie poprawne. 1 Tom in 8vo min.

Powieść 2ga: *Mistrz Twardowski*, z podań gminnych. 2 Tomy in 8vo min.

Powieść 3cia: *Pan Karol*. Szkic fantastyczny. 1 Tom.

Powieść 4ta: *Historja o Błędnej Dziewczyńce z pod Ostręż Bramy*. 1 Tom.

Powieść 5ta: *Stańczykowa Kronika od roku 1500—1505*. 1 Tom.

Powieść 6ta: *Cztery Wesela*, z dodatkiem improwizacyi fantastycznej: *Było nas dwoje*. 2 Tomy, ozdobione 3ma rycinami.

Powieść 7ma: *Poeta i Świat*. Wydanie drugie, poprawne i powiększone. 2 Tomy in 8vo.

Powieść 8ma: *Ostatnia z Xiążąt Śluckich*. Kronika z czasów Zygmunta IIIgo. Powieść ta ozdobiona 3ma rycinami, na papierze Chińskim odbitemi. Rysunek i kompozycja samego autora. Przystawiają one trafnie celniejsze sceny powieści. Odbite zostały bardzo dokładnie na kamieniu w znakomitym zakładzie litograficznym Pana Oziębłowskiego. 3 Tomy in 12mo, w bardzo gustownej okładce.

POJATA CÓRKA LEZDEJKI, albo Litwini w XIV. wieku.

Romans historyczny przez *F. Bernatowicza*. 3cie poprawne, nader ozdobne wydanie, we 4ch Tomach in 12mo.

ARCYDZIEŁA DRAMATYCZNE EUROPEJSKIE, wydawane przez *Józefa Korzeniowskiego* i *Alfonsa Walińskiego*. Tom 1szy zawiera: *Król Jan*, Dramat w pięciu aktach *Shakespear*a i *Edyp w Kolonie*. Tom 2gi: *Faust*,

Tragedya *Goethego*, pierwszy raz w zupełności, z całą wiernością i wielkim talentem na język polski przełożona przez *Alfonsa Walickiego*, Profesora Uniwersytetu Charkowskiego. Dodane są ryciny na stali sztychowane w konturnach według *Retscha*.

OPOWIADANIA *Johna of Dycalp*, z dewizą: *Tutto è vero verissimo! Lettore mio carissimo!* zawierające następne artykuły: 1. *Jeszcze Dnicy*. 2. *Trzój Bracia Dziedzice*. 3. *Suchotnica*. 4. *Powrót Rabina*. 12mo.

POWIEŚĆ SKŁADANA *Johna of Dycalp* i *J. I. Kraszewskiego*.

STARY MAŻ. Komedia we 4ch aktach przez *Józefa Korzeniowskiego*.

ZYDZI. Komedia we 4ch aktach przez *Józefa Korzeniowskiego*.

UMARLI I ŻYWI, ALBO WSZYSTKIEGO PO TROSZE. Dramat w pięciu aktach przez *Józefa Korzeniowskiego*. 12mo.

PISMA EDWARDA MARJANA (*de Galli*). 3 Tomy, in 18 maj., na najpiękniejszym welinie. Tom 1szy zawiera artykuły prozą. Tom 2gi, poezye. Tom 3ci, Dramat we 4ch Częściach *Torquato Tasso*.

TYMOFEJ CHMIELNICKI. Fragment historyczny z XVII. stolecia, wierszem napisany przez *Edwarda Marjana*; in 18 maj., na najpiękniejszym welinie, w ozdobnej okładce.

OSTATNI UPIOR W BIELEHRADZIE, dosłowny wyciąg z Kroniki Czeskiej wieku XVI.; podał *John of Dycalp*. 12mo.

CHAOS. SZCZYPTA KADZIDŁA CIENIOM WIERSZOKLETÓW, OD WITALISA KOMU-JEDZIE. Znacznie odmienił, powiększył i powtórnie wydał *John of Dycalp*. 12 maj.

KONTRAKTY. Dramat w pięciu Aktach przez *Karola Drzewieckiego*. 12mo.





0350478

NOWE

nakładem i drukiem Ciągarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego

w Wilnie wydane.



WIELKI TYDZIEŃ, przez ś. p. *X. Jakóba Falkowskiego*. Z.
K. P. L. Wydanie nowe, z wizerunkiem JEZUSA CHRYSUSA,
na stali rżniętym

WYZNANIA Ś. AUGUSTYNA, pierwszy raz na język pol-
ski z łacińskiego przełożone przez *Michała Bohusza Szysz-
kę*. 2 Tomy in 8vo.

POWIEŚCI NIEBOSZCZYRA PANTOFLA, z papierów po
nim pozostałych wybrane i ogłoszone przez *Eleonorę Sztyr-
mer*. Jest to zbiór powieści, prześlicznych utworów, jed-
nego z najgenialniejszych naszych pisarzy. Ogromny ta-
lent, wielki i nieprzymuszony dowcip, naturalny prze-
dziwny humor, rozlany po wszystkich tych utworach, na-
daje im wdzięk niewypowiedziany, i czytanie ich nader
powabnym i interesującym czyni. Wydanie na najświet-
niejszym welinie, w ozdobnej okładce. 2 Tomy in 18vo.

SĘDZIA PIENIĄŻEK. Improwizacya wypracowana przez
Johna of Dycalp. In 18mo.

SZWECYA I PISMA ROZMAITE *Alexandra Przeddziec-
kiego*. In 18vo.

PANNA MEŻATKA, przez *Józefa Korzeniowskiego*. In 18.

SZEKSPIR. PÓŁNOCNA GODZINA. Przekład *Johna of Dy-
calp*. In 12mo.

CHMURY PRZESZŁOŚCI. Poezye przez *Juliusza Hr. Stru-
tyńskiego*. Wydanie prześliczne na papierze welinowym.

W IMIE BOŻE! Poezye religijne, przez *Gabryelę Günther*.
Wydanie ozdobne.

DWA WIECZORY PANI STAROŚCINY OLBROMSKIEJ,
opisał *X. Stanisław Chołoniewski*, autor znakomitego
utworu *Sen w Podhorecach*. 1 Tom in 8vo, na pap. welin.